

# O góralu, który przechodził przez kładkę



Tatry na starej fotografii.

## **Romuald „Aldek” Roman**

Biały Potok, który wyrzeźbił wapienne, strome zbocza Doliny Białego w Tatrach, tylko trochę zwolnił bieg, wypływając z regli i wijąc się wśród pagórkowatych łąk i lasków wokół biednej góralskiej uliczki Małe Żywczańskie. Choć już nie ograniczały go wapienne skały, tylko łupkowate zbocza parowu, on nadal pędził między zaroślami łośnianów, rachitycznymi krzakami i kępami świerków.

Na Żywczańskim mieszkali górale. W każdym razie w czasach, kiedy byłem dzieckiem i bogate cepry wołały budować swoje nowobogackie jednorodzinne domy (przed wojną nazywali je willami i pensjonatami) w bardziej prestiżowych miejscach, w sąsiedztwie parku i Krupówek. A przy wąskiej zabłoconej uliczce stały biedne chaty z przynależnymi do nich oborami, koło których pasły się chude krowy, a groźne białe psy szarpały łańcuchy, jakby chciały zagryźć każdego idącego drogą. Na

otaczających Małe Żywczańskie łąkach w lecie pachniało sianem, które górali suszyli na ostrewkach, a wiosną i jesienią śmierdziało gnojem z przydomowych poletek.

Tam, gdzie prowadząca do Krupówek ulica Tetmajera dochodziła do Małego Żywczańskiego, nad potokiem przerzucono kładkę. Zrobiono ją domowym sposobem z kilku świerkowych pni, trochę tylko zestruganych siekierami od góry, tam, gdzie się chodzi, i z pojedynczymi rozchwianymi poręczami po obu stronach, takimi, żeby dopomóc idącemu w utrzymaniu równowagi i żeby nazywało się, że są, ale żeby przypadkiem nie liczyć, iż wytrzymają nacisk, gdy ktoś mocniej się oprze. Kładka opierała się od strony Tetmajera na resztkach muru, który inżynier Scherer wybudował, by zakotwiczyć koniec otaczającego jego willę ogrodzenia, aż przy samej wodzie, a z drugiego końca na podobnym kamiennym obrzeżu, którym malarz amator Weseli bronił swego podwórka przed podmyciem przez rwący potok. Murki za bardzo nie pomagały, bo po każdym większym deszczu woda porywała kładkę i niosła ją w dół, w stronę zagrody Wrześniaków, albo jeszcze dalej, aż w chaszczce koło Jaworowego Dworu. Trzeba było wtedy odbudować przejście przez potok i górale przychodzili z siekierami, i ciosali, klęli, narzekali, ale pracowali dzielnie i naprawiali mostek w ciągu dwóch, trzech dni. Żli byli bardzo na potok, że im porwał kładkę, ale odbudować ją musieli, ponieważ łączność z ulicą Tetmajera i Krupówkami umożliwiała im sprzedawanie ceprom mleka i serów, jak również kupowanie alkoholu w sklepie przy ulicy Witkiewicza.

Nasz dom, który wtedy nie był już naszym domem, tylko został przez państwo ludowe przemianowany na Dom Wypoczynkowy Funduszu Wczasów Pracowniczych Roztoka, stał przy ulicy Tetmajera pod numerem 26, czyli w połowie drogi pomiędzy skrzyżowaniem z ulicą Grunwaldzką a potokiem i kładką, o których napisałem już całe trzy akapity. To położenie gwarantowało wszystkim jego mieszkańcom oglądanie i przede wszystkim słuchanie nocnych migracji górali.

Ach, cóż to był za folklor! Cisza zakopiańskiej nocy – i nagle, o drugiej nad ranem pod samym oknem, z siłą stu dwudziestu decybeli i smutku utraconej miłości rozdierała ją pieśń.

*Regle, nose regle,*

*utra-a-a-co-o- ne regle!*

*Kie jo se zaś-piewom,*

*to mi sie rozle-e- gnie...*

A to góral wracał do domu i z żalu, że wieczór zakończył się tak wcześnie, albo z tęsknoty za do połowy wypitą, ostatnią ćwiarteczką wódki, która jeszcze była w kieszeni spodni, ale już bardzo niedługo mu się skończy, a może ze strachu przed czekającą go w domu babom ukazywał światu, Tatrom i obudzonym w środku nocy wczasowiczom całą swoją żalność.

A gdy skończył śpiewać, *Regle*, robił się zły, i silny, i zadziorny. I już nikogo się nie bał, ani kolegów, ani „kurwa-ceprów”, ani nawet baby. I śpiewał dalej:

*Ej, pójdźcie, kurwa, kłopczy,*

*ej, krew się będzie lała!*

*Ej, czerwona posoka*

*po ścia-a-a-nach sikała!*

I leciała pieśń wojenna! I siła w niej była taka, że martwe nietoperze spadały z nieba pod nogi górala! I drżeli ze strachu wczasowicze, a zakopiańczycy - i ci, którzy od dziecka w Zakopanem wychowani, a nawet ci, którzy już byli drugim pokoleniem „kurwa-ceprów”, - zamykali zasuwę i przekreślali zamki, żeby drzwi były podwójnie zamknięte, na wypadek, gdyby góral zaczął ciupazecką się dobijać.

A góral nic sobie nie robił z tego, co o nim myślą w domach wczasowych, a nawet na samej komendzie milicji obywatelskiej, bo nikogo się nie bał, bo miał w jednej kieszeni scyzoryk, a w drugiej ćwiartkę, a jak świat światem, gdy ta trójca się zejdzie: góral, scyzoryk (ewentualnie siekierka) i ćwiarteczka cystej, to ni ma takiej siły, która by się ostała!

Chyba że...

Chyba że akcja ma miejsce tam, gdzie ulica Tetmajera staje się uliczką Tetmajera, a potem zamienia w gliniastą stromą dróżkę opadającą nad Biały Potok. Dróżka to wąska, z obu stron wymyta przez deszcze, tak że gdy człowiek już na nią wejdzie, to

jak ten pociąg na szynach - nie ma ucieczki, musi schodzić, zbiegać, staczać się prosto w stronę kładki nad potokiem. A szybkości nabiera się przy tym zbieganiu od razu, bo taka stroma ta ścieżka, że pod górę na rowerze nie da się nią wjechać i trzeba rower prowadzić. A śliska... Jezu! Na wiosnę i jesienią zawsze mokra glina. W zimie - śnieg i lód.

Nie w rozpędzaniu się po ścieżce największe jednak niebezpieczeństwo, lecz w trajektorii tego rozpędzania. Zaskoczony nagłą zmianą konfiguracji terenu człowiek nie biegnie dokładnie po linii, lecz jakby naśladowując funkcje sinusoidy, przemieszcza się z jednego brzegu parowu na drugi. I albo ma szczęście, albo go nie ma. Jeśli ma szczęście, to z rozpędem trafi na kładkę, a potem uda mu się jakoś przelecieć po śliskich pniach i nie wypaść do potoku. A jeśli nie ma szczęścia, to przebiegnie, przeleci obok kładki i chlust do potoku! Albo zmieści się pomiędzy poręczami, wbiegnie na kładkę, ale poślizgnie się, wyłamie barierkę i do potoku!

I tak to dzieckiem będąc, obudzony z niewinnych snów mrozącym krew w żyłach góralskim zawodzeniem, nie bałem się, nie wchodziłem pod kołdrę i nie uciekałem do mamusinego łóżka, tylko biegłem do okna, wystawiałem głowę na nocne powietrze i nasłuchiwałem oddalających się odgłosów właściciela ciupazecki. Śpiew i wojownicze okrzyki cichły z wolna, w miarę jak góral był coraz dalej od mojego okna, o pięćdziesiąt metrów... o sto... aż nagle cisza... Cisza, bo przecież plusku z takiej odległości nie słyhać. Szczególnie gdy plusnęło na dole, w jarze potoku.

A potem krzyk gniewu i rozpacz! Najczęściej: „O kurwa!”. A potem jęki gramolenia się jak ten Syzyf po śliskich, wymytych łupkach i przekleństwa podczas wpadania z powrotem do wody.

Aż po kilkunastu minutach wszystko cichło.

Bo, jak mówiła moja babcia: „Nic się złego pijakowi nie stanie, bo Pan Bóg opiekuje się pijakiem”, więc i góral koniec końców gramolił się z potoku na brzeg. A ja wracałem do łóżka i zasypiając, marzyłem sobie, że góralowi nie udało się wyjść z potoku i gdy rano pójde na kładkę, to ciągle jeszcze będzie siedział w wodzie w tych swoich bukowych portkach i wyklinał, i rzucał w dzieci kamieniami.

*fragm. książki „Zakopiański Dom Wariatów”.*

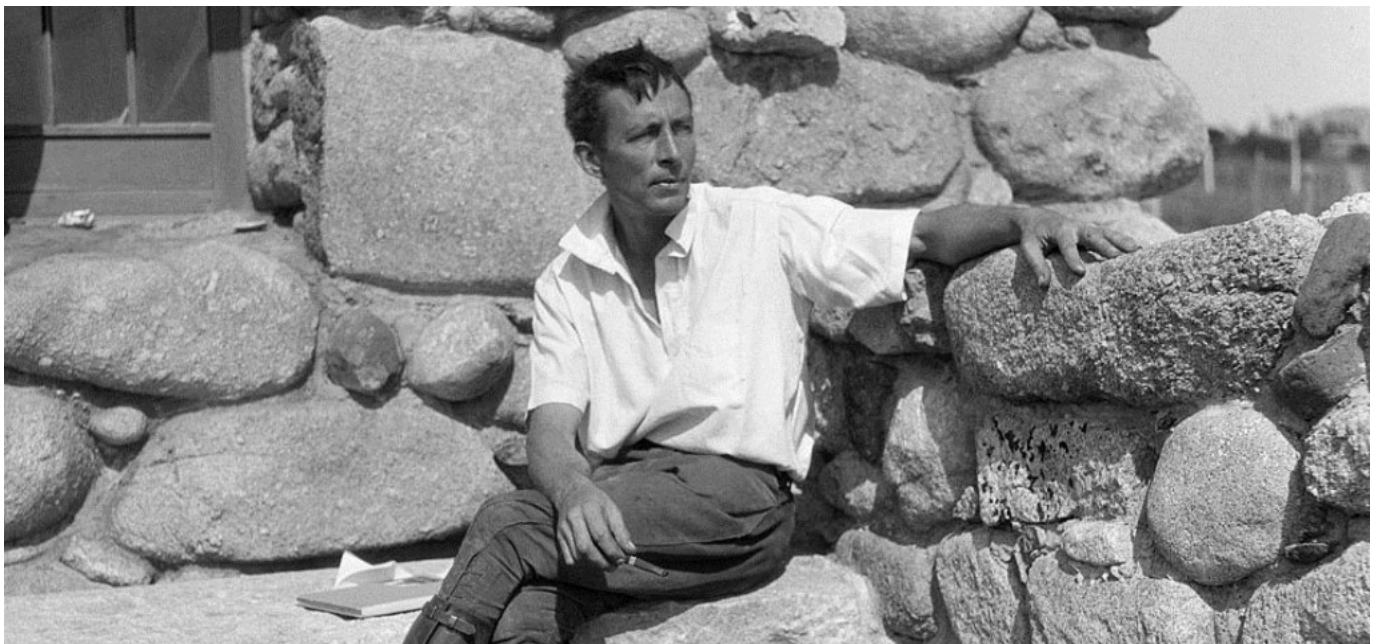
Książkę Romualda „Aldka” Romana „Zakopiański Dom Wariatów” można kupić przez księgarnie internetowe, takie jak Empik czy Gandalf.

Pojawił się też czytany przez autora audiobook dostępny na [audible.com](https://www.audible.com) i [amazon.com](https://www.amazon.com).

Autor prosi czytelników, którzy przeczytali jego książkę lub wysłuchali audiobooka o podzielenie się na stronach [audible.com](https://www.audible.com) i [amazon.com](https://www.amazon.com) swoimi wrażeniami.

---

## Na zachodzie Zachodu



Robinson Jeffers, fot Getty Images.

### Ryszard Sawicki

Najważniejszymi postaciami utworów Jeffersa był Ocean i Wiatr, nie ludzie.

*Kiedy wspominałem stare deszcze,*

*bieg chmur i żelazny wiatr,*

*wtedy drżały drzewa.*

*Wzywałem jednego z wielkich tancerzy*

*bląkających się tutaj,*

*tych, którzy przybywają znad Aleutów*

*i znad otwartego Pacyfiku*

*tocząc się w kierunku przeciwnym*

*do ruchu słońca,*

*tych, którzy celebrują siłę*

*w wirze tańca*

*i tańcząc wpadają na stały ląd.*

*Przyglądałem się jak stopy tancerza*

*burzą wodę i jak ocean burzy się pianą za Lobos;*

*żelazny wiatr uderzył od wzgórz.*

Od wzgórz, których czarne sylwetki zstępujące stromo w roziskrzoną powierzchnię oceanu. Od skał przeciętych smugami mgły. To mgła, którą wiatr oderwał od rozbitych fal i uniósł w górę. A unosząc mgłę uniósł i skały odrywając je od podłoża. Czerń i biel. Błękit nieba rozmyty w strefie, gdzie teraz króluje słońce. Zielen wody zasłonięta przez pianę. W nocy, przy świetle księżycy, jeszcze więcej czerni, a biel chyba bardziej biała niż w dzień, bo widoczna wśród pogłębionej czerni. I nieustanny ruch fal biegnących znikąd, rozpraszających się w nicości. Wiatr, który nadchodzi, zrzuca kamienie z powrotem w ocean. *To wybrzeże prosi się o tragedię jak każdy piękny krajobraz.*

*To górskie wybrzeże jest realne bo sięga daleko w przeszłość i przyszłość; jest*

*częścią ponadczasowej doskonałości rzeczy* – pisał Jeffers. A przecież mogło by się wydać nierealne, tak jest wspaniałe, tak ponad-ludzkie. Tak nieludzki jest wiatr, który uderza w ląd, niesie burzę. Burzę, przeciwstawioną w poezji Jeffersa żywiołowi ognia, który pustoszył wysuszone wzgórza. Burzy, którą poeta nazywał *dobrą istotą*, bo niosła deszcz. Taki deszcz jak ten, który powodował życiodajne powodzie w dolinie Nilu, albo przynosił życie obszarom ziemi w dorzeczu Gangesu. Lato, spokojny upał, bezruch powietrza, stanowiły zagrożenie dla życia tak jak pewnego rodzaju pokój może stanowić większe zagrożenie od wojny.

*Lato i dni nużąco-złote są bardziej niszczące*, bo powodują iż trawy stają się *trędowate* i nawet las może zapaść w stan choroby. W wierszu, który miał być jego napisem nagrobnym, Jeffers mówił trochę bardziej optymistycznie. Adresował ten wiersz do czytelników, kimkolwiek by byli, więc wierzył, że przetrwają czytelnicy.

*Podziwiałem piękno wtedy gdy byłem człowiekiem, teraz jestem częścią piękna.  
Wędruję w powietrzu będąc, ogólnie, gazem i wiatrem i tym co krąży w oceanie.  
Dotykam ciebie i Azji w tej samej chwili; zanurzam rękę we wschodzie słońca i w  
iskrzeniu trawy. Zostawiłem światło aby się sączyło z grobu do ziemi na dowód  
swojej miłości.*



Robinson Jeffers, fot Getty Images.

Ów kosmiczny wymiar egzystencji wyznawany i proponowany przez Jeffersa pozwalał poecie na taki dialog z oceanem. *Jest we mnie starsze, twardsze i bardziej bezstronne oko, mówił do oceanu, niż to, które patrzyło na ciebie jak wypełniałeś swe dno zagęszczając ciężką mgłę i określając w dół swe granice, jedząc skałę i zamieniając się na miejsca z kontynentami.*

Taki sposób ujmowania krajobrazów, jakby z lotu ptaka, właściwy był już poezji sanskryckiej, obecny w poezji Kalidasy, który żył za panowania Czandra-Gupty Drugiego (375-455). W poemacie „Narodziny boga wojny”, który można określić jako poemat religijny, bo wszystkimi jego bohaterami są istoty nadludzkie, występuje boski Himalaja, podobny do Oceanu lub Tancerza-Wiatru Jeffersa.



*W części północnej znajduje się boski Himalaja,  
władca gór,  
sięgający od wschodniego do zachodniego Oceanu,  
niewzruszony jak pręt do mierzenia ziemi...  
Tam półbogowie przebywają w cieniu chmur,  
przepływających nad łańcuchem górskich wierzchołków,  
lecz gdy wygoni ich deszcz,  
uciekają ku słonecznym szczytom...  
Puste trzciny napełniają się wiatrem,  
który wydziera się z grot,  
jakby chciał podawać ton  
dla pieśni niebiańskich minstreli...*

Na taki spokojny opis wojny można było sobie pozwolić tylko dawno temu.

Dziś, kiedy spokój ten utraciono, trzeba zachować świadomość tego, że życie ludzkości jest jak życie człowieka, *trzepot od jednej ciemności do drugiej*. I tego, że nasza rasa, *o kruchych, obnażonych nerwach* stoi u wrót nowego, nad brzegiem jeszcze jednego oceanu. By dalej mogła płynąć, musi nauczyć się zanurzać w mocne fale, poddawać ożywczym wiatrom. Skądś trzeba czerpać siłę potrzebną w dalszej podróży, a skądże jeśli nie z piękna natury, które, chociaż gwałtowne i niekiedy straszne, przecież może natchnąć odwagą by żyć... mimo wszystko.

Aby przetrwać swój czas, trzeba być *wolnym od więzów tkanych własnymi rękami*. Trzeba odnaleźć moc, która jest w źródle, w tym jedynym źródle, które jest w każdym człowieku... nawet jeśli zabraknie go w ludziach. I jest w ludziach, jeśli go zabraknie w człowieku. A zawsze jest na dnie oceanu.

Szczęśliwe to były czasy, można by powiedzieć, kiedy o wojnie pisano w taki spokojny sposób jak to robił Kalidasa. Ale i Kalidasa wpadał w tony bardziej dramatyczne, podobne do tonów Jeffersa. Wtedy obydwaj, hinduski i kalifornijski poeta, tworzyli obrazy o atmosferze obrazów Gustawa Dore. Kalidasa zrobił to na przykład wtedy kiedy opisywał walkę z demonem Taraką.

*Słońce spowiło się upiorną szatą*

*wielkich i strasznych, splecionych ze sobą węży,*

*jakby chciało wyrazić swą radość,*

*że zaraz legnie demon, jego wróg.*

*A tuż za kręgiem gorejącym słońca*

*szakale wyły jednym ostrym głosem,*

*jakby chciały już rzucić się na krew*

*króla zastępów walczących z wrogami.*

*I już sypią się z nieba*

*strumienie popiołu*

*pełne węgla płonących, z krwią i kośćmi ludzkimi zmieszane,*

*a rozżarzone krańce nieba, zasnute dymem,*

*przybierają szarą barwę karku osła.*



Robinson Jeffers i jego dom w Carmel na wybrzeżu Kalifornii.

Echa tych sanskryckich wierszy można znaleźć u Jeffersa, kiedy mówi o *hałasie, który czyni słońce*", a także o „*wojnie, łamiącej wszelkie obietnice, zabijającej tych, których uwalnia*". I o *sztormie, który „nadchodzi, kiedy lwy polują wśród nocy pociętej piorunami*.

*Nadejdzie, nakarmiony*

*pokojem,*

*kiedy skorupa jeszcze wytrzymuje:*

*do każdego z nas*

*trochę spustoszenia; ułucie żądzy lub kropla przerażenia:*

*więc lwy polują w umysłach umierających ludzi: sztorm jest*

*dobry, jest dobrą, dobrą istotą,*

*jest łagodną przemocą, w gardle tętni ból i żal.*

Sztorm nakarmiony pokojem... Jaki to pokój, którym karmią się burze? Jakie burze biorą swój początek, czerpią energię z pokoju?

Lermontow znał takie burze. Mówił o człowieku, który szuka burzy bo sądzi, że w niej znajdzie pokój. W burzy jest pokój, którego nie ma w rozszalałych duszach ludzkich. Nawet burza wydaje się spokojna w porównaniu z niepokojem, który ogarnąć potrafi dusze ludzkie.

To burza w przyrodzie jest istotą dobrą, nie ta w człowieku. W naturalnej burzy tkwi siła zdolna ugasić ogień płonący w ludziach, pożogę wojny, opętanie zniszczeniem, które czai się w narzuconym pokoju, pokoju niszczącej przemocy, pokoju, który jest w istocie samym okiem cyklonu. Pokój taki to ucisk wymuszający ostateczną uległość, bezbronność wobec najgorszych zbrodni.

Poezja w ujęciu Jeffersa jest właśnie dobrym przesileniem jakie następuje z burzą. Jego poezja to burza niosąca dobre, przedwieczne prawdy. To z powodu uderzenia gromu psy nie muszą już wyć *ku straszemu słońcu*. Grom je ucisza. Ucisza też serca ludzkie.

Po burzy pełnej wyładowań atmosferycznych nadchodzi noc, którą opisuje Jeffers. Usiana czystymi gwiazdami, *żarliwie spokojna*. Noc, która wybacza *blask lampy na mojej wieży*. Wszystkie światła nocy *myślą milczenie*. Pierwotne i nieporuszone milczenie.

Trzeba więc myśleć, że *skała z głębi wód naszej duszy* przedarła powierzchnię. Z tej skały nawet i prorokować można to proroctwo, które pamięta mrok ciemności, ma w sobie urok ciszy. Ciszy, tej samej, którą znała ziemia, nad którą nie śpiewały jeszcze ptaki. Ciemności, tej samej, którą znała dusza ludzka, gdy nie było jeszcze ziemi. Gdy żadna machina nie wprawiała jeszcze w ruch sfer niebieskich.

Nim ptaki znowu pojawią się nad skałami Point Lobos, nad Oceanem Spokojnym, niech trwa ta cisza wokół nas, rozkładających ręce od Aleutów po Ziemię Ognistą. Ramiona człowieka, rozciągnięte szeroko, niech obejmują tę ciszę, tę przestrzeń nad Oceanem. I całą Ziemię. Od brzegu Aleutów po brzegi Japonii.



Robinson Jeffers, 1940 r., fot. John-Stanton.

Kiedy ptaki nadciągną znowu znad wód, niech zakwilą wieloma głosami. A myśli ludzkie niech im odpowiedzą też na wiele głosów, wieloma językami, wieloma wierszami. Bo mnogość myśli jest potrzebna duszy ludzkiej. Mnogość takich kwilących myśli, gdy nastaje nowy świt nad skałami Wielkiego Południa. Potrzebne są duszy ludzkiej *dźwięcznie hałasujące sokoły* i mewy i kormorany. Nad skałami i piaszczystymi brzegami światów, które się właśnie wyłaniają z tajemnych wód. Myśli takie jak ta o ludziach w kutrach rybackich, płynących na skraju mgły. O ludziach w łodziach, które *okrążyły Półwysep płynąc ku bojom w porcie Monterey*, i które wydają się płynąć *wprost z baśni, między skałami a kłębami oparów*. I o ludziach patrzących na powracających z połowu rybaków. O nas, którzy powinniśmy wiedzieć, że *wszystkie sztuki gasną wobec istotnej rzeczywistości stworzeń zajętych swoimi sprawami wśród równie poważnych żywiołów natury*. Lub inna myśl. O tym, że kiedy nasi ojcowie przeszli w bród pierwszą rzekę Azji i przekroczyli tym samym pierwszą granicę świata oraz kiedy Atlantyk huśtał angielski dąb a żeglarz nie wiedział, że

czeka go jeszcze jeden ocean, już wtedy piły ze źródła piękna oczy orłów. A morza rozpościerały się od blasku do blasku, od świtu do świtu.

*Splukane deszczem, poruszone gromem, łagodne oko błękitu*, patrzyło nie tylko na bramy opuszczonych grodów lecz i na ocean, w którym nie było jeszcze ryb. To samo oko błękitu patrzy na ocean, po którym snują się teraz łodzie rybackie. Jest ono zawsze takie samo, byle nie spowijać go w upiorne szaty, jak to czynią niekiedy ludzie.

---

# Syn burzuj, czyli jak zabierali nam Zawory

**Romuald „Aldek” Roman**



Romuald „Aldek” Roman, wspaniały gawędziarz.

Wiem, że mi nie uwierzycie, że trzyletnie dziecko może coś pamiętać przez całe życie, lecz scenę zabierania naszego domu w Zakopanem pamiętam tak, jakby to

było wczoraj. Nie tak jak pamięta się film, czyli jako ciąg wydarzeń, lecz inaczej, jakby przeszłość zapisała się w szparze spojrzenia, w jednym bardzo wyraźnym ujęciu. Ja tak właśnie pamiętam scenę na ganku Zaworów. Tak ją widziałem ja, trzyletnie dziecko, biegnąc korytarzem w stronę wejścia do domu, zanim mama mnie złapała, wzięła na ręce i wyniosła do mieszkania, żeby nic mi się nie stało.

Potem słuchałem jednej babci, drugiej babci, mamy i każda z nich niby to odpowiadała na moje pytania, jak to wtedy było, ale wszystkie chciały mnie zbyć. A ojciec, gdy tylko wspomniałem, że nam dom zabrali, patrzył na mnie takim wzrokiem, że uciekałam szukać ratunku babci. Dopiero później, po latach, już jako nastolatek, poskładałem kawałki różnych opowieści i porównałem to z zapamiętaną sceną, aby w końcu wyrobić sobie opinię, jak to wtedy było. Zanim jednak wrócę do tamtego momentu, muszę naszkicować miejsce akcji i przedstawić jej bohaterów.

Nasz dom nazywał się Zawory i został wzniesiony przy ulicy Tetmajera w latach trzydziestych przez krawca biznesmena Nalepę, który budował i sprzedawał coraz to większe domy. Najpierw wybudował Hrabinę (teraz jest to wojskowy dom wypoczynkowy i tak go przebudowano, że ze starego domu nic już nie zostało), potem nasze Zawory, i ten dom kupił od Nalepy mój ojciec ze swoją drugą żoną. Trzecim, największym projektem pana Nalepy, jest do dziś nieprzebudowany Tatrogród.

Pensjonat w Zakopanem to była w XX wieku bardzo dobra inwestycja. Ojcu skapywały grosiki do pularesu i za czasów premiera Becka, i za czasów prezydenta Bieruta, aż ten drugi przerwał brutalnie burżujskie zapędy mego rodziciela. Zanim to jednak nastąpiło, w niewielkim czternastopokojowym pensjonacie mieszkaliśmy całą gromadą: ojciec z mamą, matka ojca Lena, matka mamy Romana (jak to się dziwnie czasem składa z tymi imionami), no i ja. Po przydzieleniu pokojów rodzinie i oddaniu mieszkania na strychu państwu Kowalikom, którzy prowadzili nam pensjonat, dla gości hotelowych zostało niewiele pokoi. Ponieważ jednak ojciec nie pracował i czekał na przybycie generała Andersa z Londynu, a mama albo płakała, albo malowała obrazy, z tego naszego pensjonatu wielkich dochodów nie mieliśmy. Ot, mieszkaliśmy za darmo i zatrudnialiśmy kogoś, żeby sprzątał i palił w piecach.

Ja, trzyletnie dziecko, nie zdawałem sobie sprawy, że otaczają mnie postacie jak z

bajki. Stary ojciec – kiedyś żołnierz i aktor, „bohater dziejowy” udający chorego biedaka. Zupełnie bezwolna, zastraszona, młodsza od ojca o lat blisko dwadzieścia mama. Matka mojej mamy, czyli Babcia z Dołu, wdowa po sędzim, która z głupoty i miłości do wnuków straciła mieszkanie i pracę i odgrywała rolę pani Dulskiej w domu swego znienawidzonego zięcia. Wreszcie matka mojego ojca, czyli Babcia z Góry, błękitnooka Lena, która przez całe życie miała ambicję zostania arystokratką i po śmierci pierwszego męża wyszła za mąż za prawdziwego hrabiego, ten jednak odszedł od niej w sposób tajemniczo-tragiczny. Myślała, że jest hrabiną, a mieszkała w domu syna z jego nieakceptowaną żoną i jeszcze bardziej nieakceptowaną matką tejże żony. Niezła menażeria, prawda?

Spróbujcie teraz wyobrazić sobie, jak oni się z sobą gryźli. Mama wyszła za mojego ojca, bo spodobała mu się, gdy była uciekającą przed bezpieczeństwem studentką, a on w romantycznym odruchu zapłacił duże pieniądze, by jej nie zamknęli za działalność w antykomunistycznej organizacji. Narzeczony mojej mamy z czasów studiów, Jarek Heger, który był asystentem na Akademii Sztuk Pięknych, dostał dożywocie i siedział w więzieniu we Wronkach pod Poznaniem. A mamie się udało, bo młoda i ogrywająca antykomunistyczną Joannę d’Arc sprzedała się starszemu panu, który właśnie rozwiódł się z żoną numer trzy i szukał nowego romansu.

Mój pięćdziesięciodwuletni wówczas ojciec był wysokim, postawnym mężczyzną i wyglądał na okaz zdrowia. Było to złudne, gdyż biorąc udział w obu wojnach światowych, parę razy został ranny, miał przestrzelone płuca (jako szesnastoletni legionista leczył się w sanatorium doktora Chramca) i dziurę w czaszce nad uchem. Na tych wojnach, oprócz dziur po kulach, dorobił się Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Walecznych. A gdy nie wybuchały akurat wojny, był aktorem. Przez osiem lat występował nawet w Nowym Jorku (doskonale znał angielski), a po wojnie, choć na krótko, zanim obraził się na świat, próbował powrócić na scenę. Naiwnie myślał, że przetrzyma parę lat komuny, a potem znowu wybuchnie wojna, na białym koniu z Londynu przez morza przycwałuje generał i znowu będzie można żyć jak dawniej.

Mama ojca nie kochała, ale w sumie mogło się jeszcze między nimi ułożyć, gdyby nie to, że ich małżeństwo rozpadło się, gdy mama, z niepasującym do niej uporem i odwagą, wymusiła na ojcu, by pozwolił jej sprowadzić do Zakopanego matkę. I ta moja nieśmiała, niezdolna do żadnej decyzji mama potrafiła, jeden raz w całym



swoim życiu, zbuntować się, stawić czoło mężowi, nie dać się zastraszyć rządzącej wszystkim teściowej, wyprowadzić się z pięknej, dzielonej z mężem sypialni do jednego pokoiku, aby tam gnieździć się ze swoją przez nikogo niechcianą matką i synkiem. Ten synek to oczywiście ja. Jak to się stało, że w ogóle doszło do takiej sytuacji?

Otóż matka mamy chciała pomagać swoim dzieciom w wychowywaniu wnuków. Gdy jej najstarszemu synowi tuż po wojnie urodziła się pierwsza córeczka, Elżbieta, matka mojej mamy zostawiła pracę i mieszkanie i pojechała do Warszawy niańczyć wnuczkę. Po roku żona syna, Tosia, oznajmiła: „Albo ja, albo twoja matka” i syn ze łzami w oczach odprowadził rodzicielkę na dworzec. Obrażona, pojechała do córki Dusi, gdzie przyjęto ją z otwartymi ramionami, bo Dusia miała dwóch maleńkich synków. Po dwóch latach jednak zięć Staszek kategorycznie zażądał, aby teściowa opuściła jego dom, i wtedy jedyną osobą, która mogła ją przyjąć, była moja mama. I tak to historia króla Leara powtórzyła się w mojej rodzinie – najmłodsza córka okazała matce najwięcej serca. I drogo za to zapłaciła.

Gdy Babcia z Dołu przyjechała do Zakopanego, Babcia z Góry oświadczyła: „Po moim trupie”. Ojciec, który często się z nią zgadzał, powiedział to samo. Gdyby dotrzymali słowa, w naszym mieszkaniu zrobiłoby się luźniej, ale żyli tak jeszcze z sobą, gryźli się i nienawidzili przez ponad piętnaście lat. Babcia z Dołu od pierwszego dnia zaczęła mnie uczyć, że ojciec to pijak, leń i degenerat, a jego matce słoma z butów wyłazi, a hrabinę udaje. Babcia z Góry zachowywała się wyniośle i nigdy nie rozmawiała z „tą panią”. Ojciec zamykał się w swoim pokoju i pił więcej niż zwykle. Każda z tych trzech kobiet chciała mieć mnie po swojej stronie. Babcie uczyły mnie pogardy i zapiekłej złości do swoich wrogów zza ściany, ojciec miał dość życia i ani w głowie mu było cieszyć się synem, a mama płakała i malowała obrazy.

W Zaworach podczas wojny nie straciliśmy ani jednej łyżeczki, ani jednego mebla, gdyż Niemcy, pod nieobecność ojca, który spędził wojnę w partyzantce w lesie, urządzili sobie u nas hotel dla esesmanów i wszystkie nasze rzeczy powkładali do skrzyń i wynieśli do piwnicy. Czekwały tam na nas te skrzynie do 1945 roku i dopiero gdy Niemcy wyszli z Zakopanego, miejscowa ludność nieśmiało zaczęła próbować dobierać się do dóbr dawnych właścicieli domu. Ale wtedy właśnie wrócił ojciec i pokrzyżował plany sąsiadów. Wziął sobie za punkt honoru przeczekać i żyjąc z

zaoszczędzonych pieniędzy, nie pracować dla komuny, tylko dotrwać do czasów, gdy wszystko się zmieni. Teoretycznie miał wystarczająco dużo pieniędzy i złota i wymyślił takie schowki, żeby żadna ubecka rewizja ich nie znalazła. Jeden zwitek dolarów włożył do puszek po konserwie, puszkę zalutował i umieścił w drugiej puszcze, po czym zamurował ją w filarze ganku. Drugą część dolarów ojciec poutykał w rurkach instalacji elektrycznej w olbrzymiej marmurowej lampie ze spiżową jaszczurką, która stała na jego biurku.

Mój zapobiegliwy rodziciel miał podobno jeszcze spory rulonik złotych dwudziestodolarowych monet, ale gdy zabierali nam dom, już ich nie było, gdyż ojciec, wiedziony przecuciem, „korzystnie” sprzedał złoto trzy tygodnie przed dewaluacją złotówki. Miał ogromnego pecha, gdyż państwo ludowe ustaliło limit starych pieniędzy, które można było wymienić na nowe, a my mieliśmy tak dużo tych starych, że nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto pomógłby nam je wymienić. Zostaliśmy więc ze stertą makulatury.

Ojciec jednak stracił już tak dużo, że nie załamał się wymianą pieniędzy i pocieszał myślą, iż ciągle jeszcze ma dobrze schowanych parę tysięcy dolarów. Niestety, nieszczęścia chodzą parami, a czasem nawet dobierają się w trójki. Kiedyś w pokoju ojca zaczęło coś śmierdzieć. Mama to czuła i mówiła, że zapach jest jakiś nieprzyjemny, na co on się obruszał. Babcia z Góry też przebąkiwała, że w jego pokoju daje się wyczuć jakiś odór. W odpowiedzi ojciec w pokazał jej rosyjskie papierosy w granatowych pudełkach z wymalowaną trójką, które palił, i wytłumaczył, że na to mu teraz przyszło, że musi palić cuchnącą radziecką machorkę. Babka nie drążyła tematu, a mama tak się go bała, że też zamilkła. A smród w pokoju ojca brał się z tego, że w lampie stojącej na biurku zwęglowały się dolary. Kiedy wreszcie rozebrał lampę, bo przestała świecić, najpierw się wściekł, a potem zgorzkniał i taki pozostał już do śmierci.

\*\*\*

Teraz, gdy już ich wszystkich znacie, mogę wrócić do majowego południa w 1952 roku, gdy Babcia z Góry, stojąc na ganku na pierwszym piętrze, cieszyła się kwitnącymi jabłonkami rosnącymi tuż pod jej oknem, a gdy popatrzyła trochę w lewo, w stronę wjazdu, mogła jeszcze stwierdzić, że jej ulubiona wiśnia też

zapowiada piękny zbiór owoców. Tylko na starej gruszy co roku było coraz mniej gruszek. Ale i tak będzie z czego robić konfitury.

Babcia z Dołu siedziała na ławeczce koło fontanny i czytała jakąś mądrą książkę pożyczoną z biblioteki. Bardzo ceniła francuskiego pisarza Dumasa ojca, choć specjalnie się z tym nie afiszowała, gdyż trochę się ci Francuzi za często dziurawili szpadami. Wartka akcja jednak wynagradzała mrozące krew opisy pojedynków.

Mama szkicowała przy stole, kopiując Dürera, bo chciała poprawić technikę malowania dłoni, ponoć dowód umiejętności każdego malarza. Ojca nie było nigdzie widać, ale pewnie oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu, czyli palił papierosa.

Aż tu nagle majową idyllę przerwał warkot dwóch ciężarówek, które zajechały pod nasz dom. Widok niesłychany: prawdziwe, wojskowe, zielone ciężarówki, paki przykryte plandekami, pod nimi ukryci żołnierze z karabinami. Gdy tylko samochody stanęły, żołnierze, a było ich chyba po dziesięciu w każdym ciężarówce, wysypali się na ulicę i pod okiem dowódcy zaczęli ustawiać się w szeregu i groźnie sprawdzać karabiny. Najwidoczniej przygotowywali akcję równoczesnego wejścia dwoma grupami przez obie furtki w otaczającym Zawory białym drewnianym płocie. Przygotowania trwały parę minut, ot tyle, żeby mój ojciec zdążył pojawić się na ganku. I takiego go zapamiętałem. Jak później sprawdziłem, miał metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, ale w oświetlającym go słońcu, z dumnie podniesioną głową, w marynarce, eleganckiej koszuli z krawatem i w stylowych „przedwojennych” pumpach, kapitan Mieczysław Antoni Roman wyglądał jak prawdziwy generał. A i głos miał nie byle jaki, tubalny, prawdziwie wojskowy. I krzyknął do żołnierzy (teraz myślę, że nie byli to prawdziwi żołnierze, tylko NKWD):

- Co tu się dzieje pod moim płotem?

A dowódca spojrzał nań z pogardą i odkrzyknął:

- W imieniu władzy ludowej zabieramy wasz dom pod przymusową administrację państwową. A potem wydał komendę: - Pluuuuton! Naprzód maaarsz!

Daleko jednak nie pomaszzerowali, gdyż stała się rzecz przedziwna. Ojciec, o czym nikt w domu nie wiedział, miał broń, pistolet nagan, pewnie jeszcze z czasów

partyzantki. I gdy dzielni enkawudziści złapali za klamkę furtki, ojciec podniósł pistolet, wymierzył i powiedział dobitnie:

- Zaraz się przekonacie, czerwone skurwysyny, jak strzela przedwojenny oficer!

Nie musiał strzelać. Młodzi żołnierze na widok pistoletu rozpierzchli się na boki. Został tylko dowódca, ale i on nie miał zamiaru zaliczyć kulki, bo zaczął negocjacje:

- Tylu nas jest, że podziurawimy was, obywatelu, pociskami jak sitko.

- Najpierw zastrzelę pierwszych trzech, którzy przejdą przez furtkę!

I wtedy nadbiegłem ja. Poczulem, jak mama złapała mnie, uniosła i uciekła do domu, bo gdyby doszło do strzelaniny, mogłoby mi się przytrafić coś naprawdę złego. Po chwili przybiegła Babcia z Góry, złapała ojca za rękę, tę, w której trzymał pistolet, zasłoniła go swoim ciałem przed żołnierzami i zaczęła krzyczeć:

- Mieciu! Zostaw im to! Nie poświęcaj życia dla jakiegoś domu. Niech biorą, co chcą. Ty masz syna. Ty masz jeszcze wiele lat życia przed sobą. Idź do swojego pokoju i zamknij się na klucz, a ja z nimi wszystko załatwię.

I tak też się stało. Mój potężny, bohaterski ojciec zmałał, odwrócił się na pięcie i powlókł do swojego pokoju. Po chwili usłyszeliśmy wystrzał, więc wchodzący nieśmiało żołnierze znowu się zatrzymali, a ich dowódca pospieszył z pocieszeniem:

- To nic. To pewnie burzuj się zastrzelił.

Ale ojciec się nie zabił, tylko ze złości strzelił do zegara na ścianie. Potem przez wiele lat wiedzieliśmy, o której dokładnie godzinie zabrali nam dom. A żołnierze od razu zabrali się do pracy. Przydzielili każdej osobie po jednym pokoju, żeby nam się w głowach nie poprzewracało, a niepotrzebne meble wyrzucali z okien przed dom. Powiedzieli nam, że już za parę dni rozpoczną się w Zaworach obozy junaków i będziemy mieli okazję się przekonać, jak młodzież kocha władzę ludową i towarzysza Stalina.



Zakopane, Pensjonat Roztoka, kedyś Zawory.

Przyjechali junacy. Prości wiejscy chłopcy szesnasto- osiemnastoletni, zakochani w swojej misji dziejowej. Co było tą misją, wtedy jeszcze nie wiedziałem. Dopiero po wielu latach, gdy poznałem starego leśniczego, który jako emeryt przyszedł do Tatrzańskiego Parku Narodowego, żeby nakłaniać młodych inżynierów, by zapisywali się do partii, usłyszałem:

- Och, wy młodzi... Wy nigdy nie przeżyjecie tej euforii, tej radości, która towarzyszyła mi, gdy szkolilem junaków. Tych wspaniałych młodych chłopców, którzy przyjechali na Podhale, by wypleniać zabobony panoszące się wśród górali. Jako obiekt ataku wybraliśmy przydrożne kapliczki. Wiecie, te pokrzywione postacie Jezusa Frasobliwego, te Matki Boskie o czerwonych policzkach, tych świętych nie wiadomo od czego i za co uświęconych. To my, młodzi przyjaciele, postawiliśmy sobie za zadanie, żeby to wszystko wyrwać i wypłenić. Zamierzaliśmy pokazać

góralom, że nic się nie stanie, jeśli to stojące pośród pól paskudztwo wyrwiemy, spalimy i porąbiemy siekierami. Ale nie dało się od razu. Chłopy i baby rzucały się na nasz hufiec jak złe osy. Wrywali żerdki z płotów, lecieli z siekierami, kosami, o mało nas nie zabili, a pobili wielu. Ale przegrali. My nie w ciemną bicia. Nie da się w dzień, to się w nocy kapliczkę rozwali. A ile potem radości było, gdy z daleka obserwowaliśmy, jak się te baby wydzierały, płakały, wrzeszczały na mężów i synów, że obiecali przez noc pilnować, a nie upilnowali. Ale sami wiecie, łatwiej kapliczkę zniszczyć niż pilnować noc w noc całymi tygodniami. I zniszczyliśmy kapliczki! Och! To były czasy!

\*\*\*

W Zaworach junacy też mieli swoje zadania: srali przed drzwiami pokoju ojca (oj, mieli zabawę, gdy raz i drugi nie spojrzął pod nogi i wdepnął), wyzywali nas od burżujów, porąbali płot przed domem, żeby w zimie było czym palić, zasypali fontannę i urządzili sobie na jej miejscu plac apelowy, w pokoju muzycznym urządzili magazyn na ziemniaki, bez usuwania z niego fortepianu, który przez pół roku, zanim zgnił i się zaśmiardł, wyglądał jak tratwa wynurzająca się z ziemniaczanego morza.

Ci junacy byli jednak o wiele fajniejsi niż moja rodzina. Byli radośni i odważni, a mój ojciec, jak mówiła Babcia z Dołu, był tchórzem, co własnego domu nie potrafił obronić. Junacy pięknie śpiewali na placu apelowym, a w domu nikt nie śpiewał, i tylko u Babci z Góry i u ojca całymi dniami chrypiały i trzeszczały stale zakłócone audycje Radia Wolna Europa. Junacy byli pięknie ubrani w junackie mundury, umieli się gimnastykować, a czasem nawet częstowali mnie jedzeniem. I tak to, a miałem wtedy ze cztery lata, zacząłem się rano, przed szóstą, wymykać z domu i przychodzić jako pierwszy na plac apelowy. Widziałem, jak junacy ustawiają się w szeregu i czekałem na nich, żeby stać na swoim miejscu na końcu, najmniejszy, najmłodszy, ale jeden z nich.

Z początku byli chyba źli i pewnie by mnie wyrzucili, ale nie wiedzieli, jak to zrobić. Przewidywali pewnie, że zacząłbym strasznie płakać, więc pozwolili mi stać w szeregu. A po paru dniach, gdy przestały ich śmieszyć i rozpraszać moje ruchy, pozwolili mi śpiewać z nimi ich pieśni. I śpiewałem:

*Naprzeciw blaskom juuutrzni*

*W śmiertelny żar i huk.*

*Idziemy silni buuutni,*

*przed nami pierzcha wróg!*

Co za piękna melodia, jak dodaje animuszu, jak napędza do wielkich czynów!

Albo inna wspaniała pieśń;

*Naprzód młodzieży świata,*

*ten braterski połączy nas marsz,*

*Dawne przeminą lata,*

*hej, kto młody idź z nami i walcz.*

Śpiewałem, śpiewałem z całego serca i choć apel się skończył, to chciałem śpiewać dalej. Wbiegałem więc po schodach na pierwsze piętro do pokoju Babci z Góry, a ona, widząc mnie, ściszała trzeszczące radio, podnosiła na mnie swoje ogromne, błękitne oczy i pytała:

- Cóż to takiego ważnego się stało, wnusiu, żeś taki zadyszany?

A ja wtedy dumnie, na cały głos, jak junak prawdziwy śpiewałem:

*Niezlomny jest związek*

*Republik swobodnych...*

I w starych, pięknych oczach Leny Roman-Dzieduszyckiej pojawiały się łzy.

*Kolejny fragment książki we wtorek 18 października 2016 roku.*

---

# O mgle & mglistości

**Dariusz Pawlicki**

Poniższą fotografię przedstawiającą zamrożone jezioro Pogorzelec, zrobiłem ostatniego dnia 2009 r., niedługo po zachodzie słońca. Nie użyłem żadnych filtrów, nie wspierałem się również, takim czy innym, programem służącym do obróbki zdjęć. Po prostu nad jeziorem unosiła się mgła. A w niej była obecna/skrywała się jakaś Niezwykłość, której kolorystycznym przejawem była, jak później się okazało, niebieskość.

Las okala jezioro z trzech stron (z jednej z nich została zrobiona ta fotografia). Na zdjęciu obecność mgły nad taflą lodu, rzuca się w oczy. Zwłaszcza, gdy patrzy się na pojedyncze drzewa (są nimi sosny) rosnące na przeciwległym brzegu.

Często spoglądam na to zdjęcie. Przedstawia bowiem jedno z bardzo bliskich mi miejsc. Do tego ta mgła... I po kolejnym spojrzeniu na wspomnianą fotografię, zaczął się we mnie rodzić pomysł napisania szkicu bądź eseju właśnie o mgle. Nie tylko o niej, jako takiej, ale o wszystkim (no, prawie wszystkim), co z nią się wiąże.





Jezioro Pogorzelec, fot. D. Pawlicki

\*

Bardzo, bardzo długo po Arystotelesie takie zjawiska atmosferyczne jak np. mgła były uznawane za anomalie pogodowe. Stanowiły zarazem zwiastun zmiany pogody. O samej mgle Filozof w *Meteorologicie* twierdzi, że każdorazowo jest ona pozostałością po chmurze przemieniającej się, na skutek zagęszczenia, w wodę; nie osiagającej jednak ostatecznie jej stanu. Dlatego jest rodzajem chmury, która nie przynosi deszczu. I w związku z tym jest raczej oznaką mającej nastąpić poprawy pogody.

Natomiast w *Słowniku języka polskiego*\* mowa jest o tym, że mgła to:

*zawiesina mikroskopijnych kropelek pary wodnej unosząca się nad ziemią w postaci lekkiego obłoku, powstała w wyniku skroplenia oziębionej pary wodnej*

*zawartej w atmosferze ziemskiej.*

To słownikowe sformułowanie odnosi się do świata, który może być obserwowany i komentowany przez każdego. Mgła pełni w nim rolę specyficznego ozdobnika stanowiąc, chociażby, uzupełnienie krajobrazu przez krótszy lub dłuższy czas. Ale pojawia się ona także np. na kartach książek prozatorskich i poetyckich. Jeśli chodzi o te pierwsze, to nie tylko tych beletrystycznych. Choć w powieściach, nowelach czy opowiadaniach *zawiesina mikroskopijnych kropelek pary wodnej...* jest często elementem zwiastującym Coś tajemniczego, albo też skrywającym Coś; uosabia bowiem tajemniczość. Ten nastrój może być mniej lub bardziej intensywny, w zależności, choćby, od pory dnia. W *Przygodzie w Copper Beeches*, jednym z opowiadań Arthura Conana Doyle'a, wzmianka o mgle jest ledwie zapowiedzią zagadki, która zostanie rozwiązana przez Sherlocka Holmesa. Wzmiankowany fragment brzmi następująco:

*Był chłodny poranek wczesnej wiosny, więc po śniadaniu usiedliśmy z obu stron wesołego ognia w naszym starym pokoju przy Baker Street. Gęsta mgła kłębiła się nisko pomiędzy rzędami ciemnobrunatnych domów, a znajdujące się naprzeciwko okna wyglądały z daleka jak ciemne, bezkształtne plamy wynurzające się z ciężkich, żółtych zawojów.*

O tym, co może sprawić mgła, jaką rolę pełnić, mówią poniższy utwór poetycki i fragmenty kolejnych, tyle że prozatorskich - Haiku autorstwa Issy:

*Mgła - za mgłą księżyc*

*a ja wszedłem w kałużę*

*zwodne są drogi*

Wyimek z *Drugiego dziennika paryskiego* Ernsta Jüngerera:

*(...) Wieczorem wybrałem się na krótką przechadzkę. Mgła była gęstsza, niż kiedykolwiek widziałem – tak nieprzejrzana, że promienie padające ze szczelin w zaciemnieniu wydawały mi się masywne jak belki, o które bałem się potknąć. Spotkałem też wiele osób, które dopytywały się o plac Gwiazdy, a ja nie umiałem wskazać im drogi; tymczasem staliśmy pośrodku placu (zapisek: Paryż, 23 lutego 1943 r.).*

Cytat z *Waldenu czyli życia w lesie* Henry'ego D. Thoreau:

*(...) Wstał niezwykle mglisty ranek, słyszałem, jak zabłąkana gęś krąży nad stawem, gęgając, jakby się zgubiła, co przypominało chichot ducha mgły (rozdział pt. „Gospodarka”).*

Zaś w poniższym fragmencie wiersza „Późna wiosna” Roberta Hassa „zawiesinie mikroskopijnych kropelek pary wodnej” zostały przypisane cechy wręcz antropomorficzne:

*(...) są noce, kiedy wtacza się mgła, nikt jej nie lubi – hej, ty, mgła,  
śpiewali Indianie Miwok, którzy mieszkali tu kiedyś, wróć lepiej do  
domu, pelikan bije twoją żonę –*

Mgła może skrywać Coś oczekiwanego, wręcz wyczekiwanego. Może też jednak zaić się w niej Coś niebezpiecznego. Ale również ona sama może być śmiertelnie niebezpieczna. Tak jak zostało to przedstawione w horrorze filmowym zatytułowanym po prostu „Mgła”.

\*

Mgła odgrywała też, i to niejednokrotnie, istotną rolę w działaniach wojennych (pewnie jest tak nadal). Tak jak, chociażby, w bitwie pod Lutynią stoczonej w

grudniu 1757 r. (jej wynik miał znaczący wpływ na przyznanie prawie całego Śląska Prusom). Wtedy to bowiem wczesnoporanna mgła ukryła ruchy wojsk pruskich przygotowujących się do ataku na linie austriackie.

W końcowej fazie bitwy pod Loano (listopad 1795 r.), stoczonej w ramach wojny z I koalicją antyfrancuską, nagle pojawienie się mgły, której towarzyszyły niewielkie opady śniegu i gradu, poważnie utrudniło pościg armii francuskiej za pokonanymi siłami austriacko-sardyńskimi. A w rezultacie uniemożliwiło osiągnięcie całkowitego zwycięstwa.

Wojskowości dotyczy termin „mgła wojny” (niem. *Nebel des Krieges*), po raz pierwszy użyty przez Carla von Clausewitza w traktacie *O wojnie*. A odnoszący się do nieznaności sił przeciwnika i ich rozmieszczenia, jak też niewiedzy co do jego zamiarów.

Mgła, podobnie jak chmura, jest m. in. „emblemem rzeczy nieokreślonych, stąpienia się powietrza i wody, zaciemnionych, zamazanych kształtów i zarysów, zmiennych zjawisk i pozorów osłaniających niezmienną prawdę wyższą, wspomnieniem Chaosu poprzedzającego istnienie Ziemi”\*\*.

Mając na uwadze, że mgła symbolizuje m. in. to, o czym jest mowa w poprzednim akapicie, warto wspomnieć o tym, co z kolei jest emblematem jej samej. Mówi o tym poniższy wiersz autorstwa piszącego te słowa.

Ze „Słownika symboli” Władysława Kopalińskiego

*Z nadrzecznej mgły wypłynął bezszelestnie*

*Symbol owej mgły -*

*Łabędź*

Ów ptak nie jest jedynym emblematem mgły. Inne to np. obłok, śnieg.

\*

Bardzo wczesnym letnim rankiem przed wielu latu, moim oczom ukazał się widok wręcz oniryczny: gęsta mgła, której równa warstwa miała około metra grubości, unosiła się pół metra nad powierzchnią bagna. W rezultacie tego niskie sosny i brzozy porastające je z rzadka, wyglądały jakby posiadały jedynie pół metrowy najniższy fragment pnia i czubek różnej, w zależności od drzewa, długości. Zaś ich środkowa część znikła za sprawą jakichś czarów.

Wrażenie jakich doznaje się w związku z mgłą są różne, niekiedy diametralnie różne. A to w zależności od tego czy obserwuje się ją z pewnej odległości (w tym wypadku istotne jest miejsce, z którego prowadzi się obserwację: otwarta przestrzeń czy pomieszczenie), czy też, gdy zbliża się ku miejscu, nad którym zawisła „zawiesina mikroskopijnych kropelek pary wodnej”. Zupełnie inne doznania wchodzi z kolei w grę, gdy otacza ona obserwatora. Ważne jest przy tym to, czy ma się do czynienia z mgłą lekką, białą, gęstą, wręcz nieprzeniknioną; jak też poranną bądź wieczorną. Nie bez znaczenia, jeśli chodzi o ludzkie doznania, mam tu na myśli jednak przede wszystkim estetykę, może też być postać jaką ona przybiera: obłoku, pasma, kłębow, czy też welonu. Już dawno bowiem zauważono, że mgła, i to bez względu na to, w jakiej prezentuje się postaci, i o jakiej porze, jest bardzo malarskim zjawiskiem atmosferycznym (podobnie jak np. burza, sztorm, chmury, a w o wiele mniejszym stopniu – deszcz, opad śniegu). Przykładem jej częstego wykorzystania, i to z tego właśnie powodu, może być klasyczne malarstwo chińskie, szczególnie to powstałe za panowania dynastii Song (IX i X w. n.e. to złoty okres malarstwa pejzażowego) i Ming. Jest ona bowiem jego istotnym, obok obłoku, elementem. Nie stanowi jednak tematu samego w sobie. Za przykład mglistości w malarstwie chińskim może służyć poniższy obraz:



Wang Shen [1036-ok. 1093], Piętrzące się urwiska wyłaniające się z mgły i rzeki.

Owa częsta obecność *zawiesiny mikroskopijnych kropelek pary wodnej unoszącej się nad ziemią w postaci lekkiego obłoku* we wspomnianym malarstwie, zresztą nie tylko klasycznym, ma swoje uzasadnienie/wyjaśnienie m. in. w pojęciu Pędzla i Tuszu obecnym we wszelkich opracowaniach dotyczących malarstwa Kraju Środka. Chodzi o przekonanie, że rozcieńczając mniej czy bardziej, w zależności od potrzeb, czarny tusz jest się w stanie oddać wszelkie barwy i ich odcienie występujące w naturze. Uzupełnieniem tego poglądu znajdującego szerokie zastosowanie w malarstwie chińskim, jest koncepcja *Jednej Kreski*. Według której kreska jest czymś więcej niż linią, konturem, posiada bowiem głębię. Su Dongpo tak napisał na temat tego pojęcia:

*Góra, skała, bambus, drzewo, zmarszczki na wodzie, mgły i chmury, wszystkie te rzeczy z natury pozbawione są stałego kształtu, ale każda z nich ma stałą wewnętrzną linię\*\*\*.*

Jedną z konsekwencji braku stałego kształtu jest wynikające z tego „ułatwienie” w malowaniu mgły i obłoków. Tym bardziej, że za określeniem „mglistość” kryje się np. właśnie *„brak wyraźnych zarysów, kształtów; niewyraźność”*: *Mglistość rysunku.*



*Mglistość postaci, przedmiotów, konturów\*\*\*\*. W sumie poglądy teoretyczne i charakter zawiesiny mikroskopijnych kropelek pary wodnej zaowocowały, jakby naturalną rozmytością pejzaży namiętnie malowanych przez malarzy chińskich w różnych epokach.*

Podobną rolę mgły, jak i chmury, można obserwować w malarstwie japońskim. I to nie tylko tym inspirowanym zenem. Rola ta wynika bowiem także z bardzo istotnego wpływu kultury chińskiej na japońską (i nie wyłącznie na nią). Nie tylko, choćby, za sprawą pisma, ale także właśnie malarstwa. I to zarówno jeśli chodzi o tematy, techniki malarskie, jak i teorię dotyczącą tej gałęzi sztuk plastycznych.



Caspar David Friedrich, Brzeg morski we mgle.

W malarstwie zachodnim mgła długo nie była obecna (w przeciwieństwie do chmury), podobnie zresztą, jak, mówiąc ogólnie, wszelka mglistość. Pojawiła się w nim dopiero w XVI w. W kolejnych wiekach, z wyłączeniem jednak XX (co będzie w XXI w. czas pokaże), było pod tym względem coraz lepiej. A malarze romantyczni mgłę wprost uwielbiali – nie ma w tym przesady (nie pozostawali pod tym względem

w tyle, choćby o krok, poeci romantyczni). Caspar Dawid Friedrich jest ich przykładem. I to przykładem wyjątkowo, że użyję takiego określenia, mglistym (także chmurnym, wieczornym, nocnym).

---

\* *Słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1979.

\*\* Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*; Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2006.

\*\*\* François Cheng, *Pustka w chińskim malarstwie*; w: *Estetyka chińska. Antologia*, pod red. Adiny

Zemanek, Universitas, Kraków 2007.

\*\*\*\* *Słownik języka polskiego*, PWN 1979.

---

## **Portugalskie rekonesanse**





Lizbona

## **Florian Śmieja**

Wybierając się przed laty z grupą kanadyjskich studentów na kurs do Sewilli, napisałem o tym zamiarze do Feijó. Odwrotną pocztą przyszła kartka. „*Sewilla blisko – czy nie zajrzy Pan do Portugalii i do naszej samotni*”. Zapraszała Maria Zielińska 31 maja 1988 roku.

Byłem w Portugalii już dwukrotnie przedtem, raz, by zobaczyć Fatimę, o której przetłumaczyłem książkę, a nie znałem miejsca z autopsji. Drugim razem wybrałem się z całą rodziną, żoną i czworgiem dzieci, samochodem z Torremolinos pod Malagą, gdzie mieszkaliśmy przez pół roku w 1975, do podlizbońskiej miejscowości Feijó, z jej polską stanicą, odkąd osiadła w niej zaprzyjaźniona z nami od londyńskich jeszcze czasów Maria Danilewiczowa Zielińska. Była to pamiętna wyprawa.

Na Półwyspie Iberyjskim nastały wówczas dramatyczne czasy. W Portugalii nastąpił przewrót polityczny. W Hiszpanii obserwowano zajścia w sąsiednim kraju ze

szczególną troską. Pojechałem do Madrytu z Malagi, bo czekała mnie ważna kwerenda w Bibliotece Narodowej. Akurat w tym dniu w Portugalii nie udała się próba zamachu stanu wskutek czego grupa oficerów, z niedawnym bohaterem gen. Spinolą na czele, musiała się schronić na terytorium Hiszpanii. Popijając czerwone wino z Józefem Łobodowskim komentowaliśmy aktualne wydarzenia i zamknięcie granicy portugalskiej. Mój rozmówca zauważył przy tej okazji żartem, że cała ta afery doskonale ilustrowała różnicę między charakterem Portugalczyków a Hiszpanów. Podobne wypadki pociągnęłyby w Hiszpanii wielu zabitych, podczas gdy w Portugalii skończyło się na kilkunastu poturbowanych. Pomyślałem, że taka powściągliwość świadczyła dobrze o ludziach. Więc warto było zaryzykować podróż.

Hiszpańskie gazety skwapliwie powtarzały każdą sensację, ale o normalizacji i ponownym otwarciu granicy zupełnie jakoś zapomniały. O ile pamiętam, nieczynne były telefony. Tym niemniej postanowiliśmy zaryzykować i pojechać zobaczyć na własne oczy sytuację i odwiedzić panią Marię.

Spakowawszy rzeczy potrzebne do campingu, ruszyliśmy przez góry oddzielające Malagę od żyznej równiny ciągnącej się po Cordobę, Sewillę i Huelwę. Zostawiliśmy na boku ładne historyczne miasteczko Antequerę z jej dolmenami w bezchmurny dzień marcowy i puściliśmy się do Osuny z jej monumentalnym zamkiem i kościołem oraz dawnym uniwersytetem. Po drodze, w miarę jak się posuwaliśmy, zmieniały się gleby: czerwone mieszały się z płowymi, nieomal białymi, i czarnoziemem. Jechaliśmy przez kraj latyfundiów i mijali ogromne majątki, przeważnie gaje oliwkowe i pastwiska, ale także okazałe łany zbóż. Przejechaliśmy przez rzekę Guadalquivir, a następnie Rio Tinto i zalew morski, znaleźli się w Moguer, na ziemi Juana Ramóna Jiménez i jego potyckiego osiołka „Srebronia”, a w Palos pokłoniliśmy się pomnikowi Kolumba w miejscu, skąd ruszył on na odkrycie Ameryki. W Huelwie w gaju sosnowym zrobiliśmy postój. Nękały już komary, ale grały świerszcze i była ciepła noc z ogromnym wiosennym księżycem.

Dalej jechaliśmy przez urocze gaje eukaliptusowe, łąki kwitnące i dorodne łany pszenicy już w kłosie.

W Ayamonte załadowaliśmy się na prom, którym przeprawiliśmy się przez szeroką rzekę Guadianę do Villa Verde Ficalho. Tam, po skrupulatnej inspekcji celnej,

wpuszczono nas do Portugalii, a my ochoczo ruszyliśmy wśród łagodnych pagórków na północ.

Od momentu wjazdu rzuciła nam się w oczy ogromna ilość plakatów propagandowych i napisów na murach i ścianach, na drogowskazach i mostach, na balustradach, kościołach i domach. Te slogany i niezdarnie malowane emblematy – najczęściej sierp i młot, gwiazda albo pięść zaciśnięta – czerwoną farbą kalały jasną biel zabudowań, świadcząc dobitnie o kulturze sprawców. No, ale były one symptomem politycznej walki, wielkiej szansy komunistów, by przechwycić władzę po epoce dyktatury. Zalegalizowane nowo powstałe partie miały się różnych sposobów, by zdobytej rewolucyjnie władzy nie oddać, a za miesiąc przy urnach wyborczych przypieczętować stan posiadania. Ponieważ w kraju istniał znaczny analfabetyzm, wiedziano, że wyborca będzie głosował na symbole, stąd więc ten pęd do unaocznienia tych wszystkich groźnych idei.

Jechaliśmy krajem biednym i słabo zaludnionym. Stepy, lasy, oliwki, niekiedy lasy eukaliptusowe. Czasem spośród zieleni wyskakiwała bielutka miejscowość, jak np. Merola. Kiedy skończyły się pagórki, a zaczęła żyzna, zielona równina, pokazało się na wzgórzu miasto Beja.

W tamtejszym klasztorze zwiedziliśmy muzeum z pamiątkami po matce Mariannie Alcoforado, domniemanej autorce słynnych „Listów portugalskich”, opublikowanych w Paryżu w 1669 roku pięciu listów miłosnych tłumaczonych na wiele języków, m.in. na polski przez Stanisława Przybyszewskiego. Aczkolwiek udowodniono w ubiegłym wieku, że ich autorem był w istocie pisarz francuski, a nie żadna portugalska zakonnica. Kustosz muzeum opowiadał o autorce listów miłosnych, „której sława obiegła świat”. Nie oponowałem. Stałem bowiem w miejscu, gdzie żyła legenda, a legendy bywają piękniejsze niż rzeczywistość. I trwalsze.

Przez przemysłowy Setubal dotarliśmy do peryferii Lizbony, do stóp wspaniałego mostu, ongiś noszącego imię Salazara, teraz 25 kwietnia.

Aczkolwiek anonimowy polski podróżnik z 1595 roku zanotował, że Lizbona to *„jest miasto wielkie nad rzeką Tagus...Ma port która to rzeka czyni i w wielkości i w możliwości w zacności najprzedniejszy we wszystkim chrześcijaństwie”*... to niespodziewanie dodał, że *„lud w tym mieście bardzo bogaty, ale samo miasto*



*plugawe, ciemne, ciasne*". Był on bez wątpienia zbyt surowy. Bo Lizbona to miejsce o wielkich tradycjach, które już przez Rzymian zostało wyniesione do godności miasta. Fenicjanie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wizygoci i Arabowie poznali się na strategicznym jego położeniu, a w 1147 roku zdobył je pierwszy król Portugalii, Alfonso Henriques.



Lizbona, Klasztor Hieronimitów.

Dziś jest to nowoczesna stolica o ponad milionie mieszkańców. Z dawnych zabytków architektonicznych, oprócz zamku, katedry i klasztoru Hieronimitów, niewiele przetrwało pamiętne trzęsienie ziemi. Śródmieście zostało dlatego gruntownie przebudowane. Rozciągnięte na siedmiu pagórkach miasto zachwyca przepięknymi widokami, które z każdego miejsca biegną aż po lazur Tagu szerokiego jak morska zatoka. W Lizbonie uczciliśmy jeden z bardziej cenionych pomników architektury manuelińskiej, wieży w Belen, w której więziono m.in. gen. Bema, i pomnik postawiony dla uczczenia pięćsetlecia księcia Henryka Żeglarza, inicjatora epopei

wielkich odkryć portugalskich zaznaczonych na ogromnej mapie świata - idzie się przez nią do pomnika stojącego na samym brzegu.

Chodziliśmy uliczkami, oglądając wszędzie zeszpecone plakatami wyborczymi i nabazgranymi napisami budynki. Wszędzie można było nabyć cały asortyment „nowych dewocjonaliów”: podobizny Marksa, Lenina, Mao Tse-tunga i Che Guevary na broszkach, lusterkach, popielniczkach. A obok tego zatrzesienie publikacji pornograficznych na każdym kroku, co wyglądało w tym kontekście iście groteskowo.

Oddychaliśmy niemiłą atmosferą nasyconą jakimś oczekiwaniem i czymś niewiadomym, a równocześnie łagodzoną miękkim charakterem Portugalczyków, którym zazdrościliśmy miłego zwyczaju zamykania sklepów i biur w porze obiadowej, tak że ludzie mogli się przechadzać po chodnikach lub grzać na słończku w niespodziewanej sielskości.

Po drugiej stronie rzeki, w zaszytym wśród drzew i krzewów uroczym domku o podwórzu okolonym pachnącymi frezjami, odnaleźliśmy Marię i Adama Zielińskich. Ich siedziba, pełna książek, obrazów, sztychów i starych map Polski, stanowiła istny przybytek polskości w samym sercu Portugalii. Długoletnia i dynamiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie, redaktorka, pisarka i krytyk, tam znalazła schronienie i nowy warsztat pracy, gdzie mogła kontynuować wierną służbę dla polskiej kultury. Mąż jej, od lat zbierający teksty ilustrujące polsko-portugalskie stosunki kulturalne, przygotowywał je do druku.

Zgotowano nam wspaniałe przyjęcie, a nasze dzieci poznały smak staropolskiej gościnności dworku polskiego, kiedy na stół wjechała cenna zastawa i rodzinne srebra.



Maria Danilewicz Zielińska

I tak, mimo niepokoju i politycznych ruchawek, wizyta się odbyła spokojnie, a po niej wróciliśmy do Hiszpanii zadowoleni, że nie stchórzyliśmy, a może zawieźliśmy nieco otuchy obleżonemu krajowi, w którym zaroilo się nagle od najróżniejszych zawodowych talibów lewicy z całej Europy.

Istotnie, nadchodziły z Feijó słowa kojące: *„Żyjemy nadal spokojnie, burze przechodzą bokiem, a chwilami rozjaśnia się – niestety, na krótko, bo jak na taśmie fabrycznej nadjeżdża natychmiast jakaś nowa sensacja”*. Do listu państwo Zielińscy dołączali, zaproszenie mające się powtarzać w dalszej korespondencji: *„Ciągle jeszcze mam nadzieję, że na trasie dalszej wędrówki znajdzie się znów Portugalia i Feijó”*. *„A może będą Państwo wracać przez Lizbonę i Feijó”?*

Rok później pani Maria donosiła z ulgą:

*Bardzo się tu uspokoiło, choć nie jest to powrót do tego, co było przed kwietniem*



1974 - już prawie dwa lata temu. Zaczęły się trudności ekonomiczne, ale jakby już przezwyciężane. Pojawiają się nawet lekko wystraszeni turyści. A pogoda na medal: kwitną mimozy, storczyki, kliwie itd.

\*\*\*



Sewilla

Drugi rekonesans również zaczął się w Sewilli, która wyprawiła barwne, kryte wozy pątników na doroczną ferię El Rocío. Kątem oka mogłem jeszcze dostrzec uroczystości ślubne rodziny księcia Alba, przystrojoną w czerwone dywany katedrę, ponad tysiąc gości, śliczne konie, a niedługo potem pola słoneczników, pastwiska i gaje oliwkowe, wspaniały zamek warowny w Aracena. To kresy Hiszpanii i bezludzie, rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury, gdzie rodzi się odrębność. Mnożyły się ufortyfikowane miejscowości wśród dębów korkowych na szczytach górskich Cortegana, Aroche, a wszędzie bociany i chmary jaskółek. Na granicy w Ficalho napis głosił, że było jeszcze 238 km do Lizbony. Dzień był przepiękny, ciepły i pełen rozśpiewanego ptactwa. Autobus szybko dotarł do Beja po przejechaniu przez rzekę Guadianę. W Gradola postój wśród sosen i dębów korkowych, eukaliptusów, ziemia żółta, też urodziwa. Nad wysoką basztą zamku w Alcacer du Sol latały bociany, inne brodziły na polach ryżowych, blisko już Setubal i cel wyprawy. Zobaczyłem Lizbonę w nocy, tłumy wracały do domów. Kwitnące jacarandy zlewały się z delikatnym

zmierzchem łagodnej portugalskiej nocy. W centrum znowu pamiętane budynki ukazujące egzotyczną architekturę o orientalnym smaku, miasto, symbioza rzeki i zboczy o bujnej roślinności, morze czerwieniejącej jeszcze dachówki i potężny pomnik Chrystusa błogosławiącego miasto zza rzeki. To z tego idyllicznego miejsca szły morskie zwiady na wszystkie oceany. Miasto ciche nad spodziewanie, żadnych nie było słychać klaksonów...

Nie tak łatwo było znaleźć Quinta das Romazeiras, zaszyty w zieleni dom, biały, o romantycznej nazwie, ale na bezimiennej ulicy. Kto w końcu dotrze do niego, będzie miał niespodziankę: nagle oaza polskości, serdeczność, gościnność, pamięć. Na nowo zachwycają ściany obwieszane historycznymi mapami, półki pełne książek. Bo to nie tylko świątynia polskiej literatury, ale i jej kuźnia, a mieszkańcy tego domu to nie tylko miłośnicy i kustosze, ale również pomnożyciele i propagatorzy.

To tu w 1974 roku Maria Ziełńska zaczęła pisać „Szkice o literaturze emigracyjnej”. Ale temat nurtował ją już od dawna. Pierwsze ślady w druku możemy znaleźć w tekście opublikowanym w „Kontynentach” (w numerze marzec-kwiecień 1961 roku), skróconym wykładzie „Rzut oka na literaturę emigracyjną”, przygotowanym dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Tym tekstem rozpoczęła bez mała pół wieku wiernej służby kronikarza tej literatury.

Tymi słowami zaczęła swój wykład:

*Literatura emigracyjna, której losom i obecnemu kształtowi poświęcić mam obecny wykład, jest naturalną konsekwencją wielkiej tragedii narodowej, której początkiem były wydarzenia z wczesnych godzin rannych 1-go września 1939 r.*

Dalej autorka zastanawia się nad samym terminem, który należało ukuć i obronić.

Określenie „literatura emigracyjna” jest jednak doby znacznie późniejszej. Do cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu w Anglii w roku 1945, nie był w ogóle używany i mówiło się powszechnie o „literaturze Polski walczącej”, wychodząc z założenia, iż oficjalnie zachowana została ciągłość działania instytucji państwowych. Dalszy obrót wypadków sprawił, iż coraz szerzej zyskiwał obywatelstwo termin „literatura emigracyjna”, rozciągany wstecz na całokształt polskiej produkcji



literackiej poza krajem od września 1939 r. Nie jest to termin idealny czy dokładny: raczej termin umowny, powszechnie używany na określenie całokształtu piśmiennictwa polskiego poza krajem i w nielicznych tylko wypadkach kwestionowany.

Nie zawsze łatwo powiedzieć, kto solidaryzował się z emigracją. Od roku 1939 liczymy więc początki literatury emigracyjnej. Opierała się ona najprzód na czasopismach i antologiach, a w końcu na tomach poezji i prozy. Przewodzili jej pisarze już z pewnym dorobkiem, ale z czasem dorosli debiutanci, wreszcie pokolenie, które dopiero poza Polską zaczęło pisać.



Maria Danilewicz Zielińska, fot. arch. KUL.

Pani Maria zajmowała się więc tym wielkim tematem od ponad dwudziestu pięciu lat, kiedy znalazłem się w jej domu po raz drugi. Oglądając zasłużoną pracownię i podziwiając jej twórczynię, pomyślałem, że nadarzyła się rzadka szansa, by z okazji spotkania uczcić długotrwały wysiłek i nagrać rozmowę. Pani Maria była trochę zaskoczona propozycją, ale zgodziła się porozmawiać i tak powstała zaimprovizowana wymiana zdań pt „Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej”. Nagraną rozmowę zabrałem z sobą za Atlantyk i przepisałem na maszynie.

Przeszło mi także przez myśl, że zbliżało się pięćdziesięciolecie literatury polskiej poza krajem i że wpływ tak znacznego okresu czasu uzasadniał baczniejsze spojrzenie na aktywność tak wytrwałą.

Odpowiadając na moje pytania, Pani Maria przypominała, że była w pierwszym rzędzie historykiem literatury, a dopiero potem bibliotekarzem. Zaznaczyła, że termin „literatura emigracyjna” nie uważała za ścisły, bo najpierw mieliśmy do czynienia z literaturą Polski walczącej, a następnie z literaturą wolnego słowa, z literaturą poza cenzurą.

To okres wojenny umożliwił powtórny debiut skamandrytów, których wiersze czytano z entuzjazmem. Awangarda zaś była skąpo raczej, a więc niedostatecznie reprezentowana przez Jerzego Pietrkiewicza. Dobrze zapowiadający się poeta Stefan Borsukiewicz zginął młodo. Wielką popularność zyskały wtedy antologie twórczości żołnierskiej.

Następnie zainteresowanie zaczęli budzić młodzi twórcy: Zofia Romanowiczowa oraz Tadeusz Nowakowski. Rok 1951 to żniwo Instytutu Literackiego w Paryżu, który wraz z zeszytami „Kultury” zaczął przynosić wybitne teksty Miłosza, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego i Mieroszewskiego. W Londynie wznowione „Wiadomości” stanowiły ośrodek życia literackiego wraz z inną prasą i wydawnictwami takimi jak, Veritas, Oficyna Poetów i Malarzy i niespodziewanym zjawiskiem: grupą poetycką, która stanowiła pewne novum na mapie emigracyjnej. Pani Maria była zdumiona pojawieniem się w kilkanaście lat po wybuchu wojny, poza Polską, grupy młodych pisarzy niewiele, albo nic nie pamiętających z dwudziestolecia, a próbujących nawiązać do polskiej tradycji kulturalnej. Z czasem zaczęli odchodzić seniorzy, upadały pisma.

Równocześnie jednak twórczość krajowa zaczęła się zazębiać z emigracyjną. Za granicą zaczęto drukować teksty powstałe w Polsce, rozbudowano wydawnictwa podziemne, powstał drugi obieg.

I tak literatura emigracyjna zaczęła ustępować literaturze wolnego słowa współtworzonego przez emigrację i kraj. Zjawisku temu, sądzi Zielińska, nie towarzyszył jednak wspólny język, co spowodowało konflikt międzypokoleniowy.

Aczkolwiek nie życzyła sobie dożyć kresu paryskiej „Kultury” trafnie nie dostrzegała następcy wśród nowo powstających czasopism za granicą. Druga emigracja niepodległościowa miała się okazać jedyną i nie do zastąpienia przez różnych mało fortunnych uzurpatorów wywodzących się z najbardziej nieprawdopodobnych kręgów.

Kiedy wysłałem rozpisany tekst naszej spontanicznej rozmowy, otrzymałem list datowany 7 sierpnia 1988. Pisała w nim o tekście wywiadu:

*Wydał mi się interesujący, ale wymaga oszlifowania i uzupełnień po przemyśleniu ewentualnych reakcji na moje pewne osądy. Zabiorę się do tego, gdy tylko uwolnię się od terminowych zobowiązań tj. – jak myślę, w końcu sierpnia. [...]*

*Przed otrzymaniem tekstu wspomniałam Giedroyciowi o nagrany przez Pana wywiadzie i pytałam, czy by go interesował. Nie mam jeszcze odpowiedzi. Na drugim miejscu postawiłabym „Puls”, „Orzeł” ma inne terms of reference i jakoś się nie rozkręca, mimo dobrych intencji grona ludzi z Walczakiem na czele.*

Wygląda z powyższego, że o tym liście Pani Maria zapomniała, bo 23 września napisała następny, biadając w nim nad swoją opieszałością:

*ze wstydem konstatuje, że wysłał Pan pracowicie przepisany tekst wywiadu już 25 lipca – a ja odpowiadam po dwu miesiącach...*

*Po odrzuceniu pierwszej wersji wywiadu doszłam do wniosku, że 1. jest zbyt długi, 2. że się rozłazi tematycznie, 3. że zawiera zbyt dużo danych informacyjno-bibliograficznych łatwiej dostępnych w „Szkicach” i „Literaturze wolnego słowa”. W załączeniu wersja skrócona. Pyta Pan komu ją wysłać? Na sygnał, że wywiad taki został nagrany, Giedroyć nie zareagował – może zrozumiał, że otrzyma tekst w przyszłości i wtedy się wypowie? Gdyby nie „Kultura” to „Puls”, „Kontakt” (Jacek Bierozin) ewentualnie „Pamiętnik Literacki” Garlińskiego. Z „Orłem Białym” mam złe doświadczenia – zresztą możnaby równie dobrze złożyć maszynopis do dziupli w Vancouverze....*

Niebawem mogłem meldować do Portugalii w liście z 10X. 1988:

*Ogromnie się ucieszyłem otrzymawszy wczoraj poprawiony tekst rozmowy, bardziej zwartej i lepiej ukierunkowanej. Zrobiłem kopię i natychmiast pchnąłem ją do Giedroycia z adnotacją, by sygnalizował, jeśli nie chce drukować.*

Kiedy wywiad ukazał się w numerze 1 (496) - 2(497) 1989 roku, napisałem do Feijó:

*Z wielką przyjemnością zobaczyłem w <Kulturze> wywiad, który moim zdaniem, rozlegnie się zasłużonym echem i dobrze się stało, że się do Pani wybrałem i przyczyniłem do wydobycia tej wypowiedzi na pięćdziesięciolecie. Przypuszczam, że Pani również już (ma) przyjazne sygnały. Tak więc od czytelników i od siebie dziękuję za poświęcony czas, a wiem doskonale jak z nim u Pani krucho.*

Nie trzeba było długo czekać na reakcje czytelników. Na pocztówce z 6 maja 1989 roku pani Maria entuzjastycznie donosiła:

*...wskrzesał mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy... a nowojorski 'Tyg.Polski' (Julita Karkowska) i Barbara Toruńczyk życzą sobie mojej współpracy. Najwyraźniej wprowadza mnie Pan w świat!*

Ja z kolei w liście z 30 sierpnia 1990 odpowiedziałem z dumą:

*Bardzo się cieszę, że "zmusiłem Panią" do tego wywiadu i tak powstał wspaniały tekst. W Polsce bez końca ukazują się konspekty, panoramy i historie literatury emigracyjnej. Trochę mnie te akcje niepokoją, bo oto pozwoliliśmy, by o tej materii pisali ludzie postronni, nie znający terenu z autopsji. Skarżył się Tadeusz Nowakowski, że np. w Wolnej Europie obsadzonej przez nowych ludzi bardzo już jest trudno cokolwiek o dawnej emigracji umieścić. Trzeba by się jeszcze zmobilizować i dorzucić do ogólnej wiedzy te elementy, które tylko nam są znane. A przynajmniej powinniśmy zostać partnerami na tym polu dociekań.*



Maria Danilewicz Zielińska, fot.  
Archiwum Emigracji.

Pani Maria należała do osób, które żywo interesowały się emigracyjnym narybkiem literackim. Mówiła ciepło o jego wyjątkowo trudnym starcie, kalekim dzieciństwie, braku polskich szkół, wzrastaniu wśród obcego społeczeństwa. Pierwsze kroki śledziła z sympatią, zachęcała, chwaliła, broniła, nierzadko uzyskując w zamian aroganckie i obraźliwe repliki swoich pupilów.

Pamiętam, że bardzo się radowała z sukcesów debiutantów „oderwanych od elementarza” jak napisała o pamiętających wczesne lata i opisujących je piękną polszczyznę młodych. Taką pociechę znalazła w twórczości Hanny Świdorskiej (ur.1930), wywiezionej na wschód w wieku 9 lat, która pod pseudonimem Janiny Kowalskiej napisała o swoich przejściach w przejmujących „Moich uniwersytetach”. Jej kolejna książka „Pogranicze” znakomicie pokazała współzycie polskich rodzin wojskowych, które osiedliły się w Walii, z zasiedziałą ludnością lokalną. Pod nazwiskiem Grażyny Nowak Świdorska wydrukowała w „Kulturze” kilkanaście

„Listów z Londynu” oznaczających się bystrym zmysłem obserwacji i ciętym językiem. Także „Teki Historyczne” drukowały jej prace. Sądzę, że historyczka z wykształcenia a bibliotekarka z zawodu (dłuższy staż w bibliotece British Museum), chętnie by na emeryturze myszkowała w doskonale sobie znanych archiwach brytyjskich i zasilala z pożytkiem „Teki Historyczne”, gdyby nie uciążliwe osłabienie wzroku, a także nieszczęśliwy wypadek drogowy, najechanie przez motocyklistę, który ograniczył jej mobilność.

W którymś z listów do Pani Marii wspomniałem jej wielką życzliwość dla młodych poetów londyńskich.

*Przyszłedł świeży zeszyt „Kultury” i nowy dowód Pani pamięci i przychylności dla naszej grupy. A pamiętam, że nieraz musiała Pani czytać i słuchać wielkich głupstw wypisywanych we wczesnym okresie. Ktoś tam wymądrzał się, że Mickiewicz to żaden poeta, że „Wiadomości” zupełnie do niczego. Pisaliśmy nieraz z wyżyn małego doświadczenia i młodzieńczego zadufania. A i Pani za wyrozumiałość i stałą zachętę odpłacano nie zawsze dobrą monetą. Nie wiem, czy już jesteśmy wolni od wszystkich niedobrych nawyków, od próżności podbijania własnego bębenka, sitw celem windowania siebie, jakby nie wierząc w wartość samej twórczości... Bo czy potrzebny jest hałas wokół dobrego dzieła? Ale może to, co mówię odnosi się do idealnych układów, a w życiu ktoś chce odwoływać się do „późnego wnuka”.*

W ostatnim do mnie liście, już po fatalnym pożarze, o którym nawet nie wzmiankuje, wyznaje *“Londyn wspominał z mieszanymi uczuciami”* i choć dalej autorka mówi tylko o wytężonej pracy bibliotecznej, wtajemniczeni pamiętają, że wyjazd z Anglii ciężko przeżyła. Ostatecznie zdecydowała o nim narastająca animozja niektórych członków zarządu POSK-u i ustawiczne nieporozumienia z Radą Biblioteczną, z którą musiała wiecznie wojować, stojąc na straży interesów Biblioteki Polskiej.

Zamieszkawszy trochę na uboczu w Portugalii, nie była dosłownie odcięta od świata. Z początku bywały wyjazdy za granicę, do Londynu czy Szwajcarii, do Paryża. Były ciągle wizyty ludzi z Polski i ekip telewizyjnych. W roku 1993 tryumfalnie doniosła: *„W maju był oficjalnie Wałęsa – rozmawiałam z nim...o gwarze naszych wspólnych stron rodzinnych, Kujaw! Hear, hear!...”*

Ale z czasem, po śmierci męża i uciążliwych przypadłościach choroby i starości, słowa samotnia i pustelnia zaczęły nabierać właściwej, okrutnej wymowy. Na parę lat przed śmiercią feralny pożar domu i niepowetowana strata książek i listów wstrząsnęły nią okrutnie. Wyglądała na próżno przyjaciół. Kurtuazyjne zwroty powtarzane w listach: *„Dużo czasu upłynęło od naszego spotkania w Portugalii i myślę, że w tym roku wybierze się Pan znowu do Hiszpanii i przy okazji zawadzi o nasz ermitaż”* czy *„Wzdycham, by w drodze powrotnej do Kanady wypadł Panu przystanek w Lizbonie i serdecznie do Romazeiras zapraszam”*, brzmią dziś nie jak okolicznościowe uprzejmości, ale jak rozpaczliwe wołania człowieka-emigranta skazanego na życie bez ludzi. Jeszcze teraz przejmująco brzmi zaproszenie do Feijó, *„gdzie jest Pan zawsze najmilej widziany. Tkwię tu kamieniem, zawsze obecna”*.

---

## Literackie światy Piotra Guzego

**Marcelina Janisz**

W 2015 roku nakładem opolskiego wydawnictwa „Nowik” zostały wydane trzy książki Piotra Guzego: zbiór opowiadań *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*, *Krótki żywot bohatera pozytywnego* oraz *Stan wyjątkowy*, a w 2016 wznowiono powieści *Zwidy na wysokościach* oraz *Requiem dla pani Tosi*. Autor w wieku 94 lat postanowił jeszcze raz przypomnieć o swojej prozie w Polsce, wznawiając edycję swoich utworów w jednym wydawnictwie, tworząc w ten sposób zamkniętą całość. Warto w tym kontekście przypomnieć jego twórczość prozatorską, która nie doczekała się szerszych i całościowych badań oraz opracowań.

Proza Guzego dojrzewała i przekształcała się wraz z rzeczywistością, stawała się wielowymiarowa i nieprzeciętna. Problematyka utworów pisarza wyrasta częściowo z jego biografii - doświadczeń wojennych i życia w Polsce w okresie stalinowskim. Jednak to perspektywa emigranta stała się przełomowa w pisarstwie Guzego, owocując niezależnością sądów i pogłębieniem warstwy refleksyjnej. Pisarz stawia

gorzkie diagnozy człowieka i zniewolonej ideologicznie ojczyzny.

Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 roku w miejscowości Zawadzkie na Śląsku Opolskim. Jego ojciec Juliusz Guzy pracował jako urzędnik pocztowy. Przyszły pisarz uczył się w Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Księcia Jana Opolskiego oraz w Liceum Pedagogicznym w Tarnowskich Górach. Podczas II wojny światowej przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do wojska polskiego, formowanego przez gen. Władysława Sikorskiego. Po kapitulacji Francji latem 1940 roku znalazł się w Anglii, gdzie dołączył do tworzonej tam polskiej Brygady Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Służył w Pułku Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej, stacjonującej w Szkocji. W 1944 roku został poważnie ranny w walkach pod Bredą w Holandii. Po rekonwalescencji w angielskim szpitalu postanowił studiować ekonomię oraz nauki polityczne i w 1946 rozpoczął naukę na Uniwersytecie Londyńskim. W Anglii ożenił się z Ishbel Frances Reynolds. W 1949 roku postanowił powrócić do Polski, w rodzinne strony, do Tarnowskich Gór. Pracował w spółdzielni spożywców i kontynuował studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, uzyskując stopień magistra w zakresie nauk ekonomiczno-politycznych.

W 1952 roku zadebiutował opowiadaniem *Jędraszkowie*, które opublikowane zostało w piśmie „Nowy Świat”. Współpracował także z „Gazetą Poznańską” i „Tygodnikiem Zachodnim”, w którym prowadził przegląd niektórych periodyków angielskich i amerykańskich pod wspólnym tytułem *Na Zachodzie*. W połowie lat 50. XX wieku opublikował w kraju cztery powieści o tematyce kryminalnej, szpiegowskiej i sensacyjnej: *Następny odchodzi 22:25* (1955); *Nocny zrzut* (1955); *Cienie na gwiazdach* (1956)[1] i *Wenus z brązu* (1956). W tym czasie dojrzewała w nim decyzja o ponownej emigracji. W roku 1957 zdołał przedostać się z rodziną przez Berlin do Anglii, gdzie zamieszkał w Leicester. Początkowo pracował w biurach miejskiej gazowni, po roku otrzymał pracę w monitoringu radiowym BBC w Reading, w hrabstwie Berkshire. W 1968 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora w Rozgłośni Radio Wolna Europa w Monachium. Podjął także współpracę z pismami „Kultura” i „Wiadomości”, w których publikował teksty literackie, artykuły i recenzje. Poza krajem ukazały się jego najbardziej znane powieści: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966) oraz *Stan wyjątkowy* (1968). Oba utwory zostały nagrodzone i wyróżnione przez literackie środowiska emigracyjne – za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* otrzymał nagrodę paryskiej „Kultury”, zaś *Stan wyjątkowy*



uhonorowano nagrodą „Wiadomości”. Jeszcze dwukrotnie – w 1972 i 1973 roku – był nagradzany przez londyńskie pismo za utwory drukowane na jego łamach.

**Piotr Guzy**

**Owiedziny u duchów  
i inne opowiadania**





W 1977 roku Guzy wyjechał do Hiszpanii. Napisał i opublikował jeszcze trzy powieści: *Wielkie nieszczęście* (wydaną we fragmentach w 1983 roku); *Requiem dla pani Tosi* (1990) oraz *Zwidy na wysokościach* (1994). Obecnie mieszka w Daimuz i nadal zajmuje się literaturą oraz pisarstwem. W kraju jego opowiadania ukazały się na łamach „Zeszytów Literackich”. W wywiadzie *Musiąłem wyjąć z szafy trupa i go pogrzebać* z 2000 roku, który ukazał się w miesięczniku „Śląsk” (2000, nr 2), pisarz wspominał o swoich dalszych planach literackich:

*W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Literackich” opublikowałem fragment jednego z opowiadań, nad którym teraz pracuję. W poprzednich książkach musiałem z siebie wyrzucić okropności powojennych doświadczeń z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, opowiedzieć o swoich odczuciach. Musiałem wreszcie wyjąć z szafy tego trupa i ostatecznie go pogrzebać [...], na szczęście te opowiadania dotyczą innego świata przeżyć.*

Gorącym orędownikiem ponownego odkrycia Piotra Guzego i odczytania na nowo jego prozy, jest Florian Śmieja, który pragnie znaleźć dla niego godne miejsce w historii literatury polskiej. Jego twórczość już wcześniej zwróciła uwagę znawców literatury emigracyjnej – Marii Danilewicz Zielińskiej, która tak charakteryzowała dwie emigracyjne powieści pisarza:

*Obie powieści Guzego dopełniają się i nieważna jest w nich fabuła, zresztą konsekwentnie obmyślana i przeprowadzona, ale odtworzenie tego, co Broński określił w recenzji książek Guzego jako „zdyszany bełkot” ludzi zaszczutych, przerażonych czy bez ratunku zagubionych w labiryntach „stanu wyjątkowego*

oraz Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który nazwał Guzego pisarzem „o wielkim talencie”.

Twórczość Guzego dzieli się na dwa okresy: krajowy i emigracyjny. Debiutował on powieściami o charakterze popularnym; nie mógł w nich jednak pisać o ważnych dla siebie tematach i wyrażać krytycznych poglądów na krajową rzeczywistość. Dopiero emigracja dała mu możliwość rozwinięcia skrzydeł. Powieści tam pisane są dojrzalsze, osadzone w konkretnej rzeczywistości. Guzy stworzył bohatera, który zmagają się z własnymi słabościami, rzeczywistością komunizmu, naciskami władzy. Postacie mają pogłębione rysy psychologiczne, a poruszane tematy nawiązują do aktualnych wydarzeń w Polsce i na świecie.

Szczególnie ważny w twórczości Guzego jest cykl powieści o Polsce lat 50. i 60. XX wieku, który tworzą w zamierzeniu autora utwory: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, *Stan wyjątkowy*, *Requiem dla pani Tosi* i *Zwidy na wysokościach*. Ich bohaterami są emigranci, agenci służby bezpieczeństwa, milicjanci i ubecy – ludzie, na których ciąży przeszłość. Charakteryzuje ich zniewolenie psychiczne i utrata wolności – są trybami w bezwzględnej machinie komunistycznego systemu. Autor uczciwie rozlicza się z przeszłością, ale pisze o niej ironicznie, z karykaturalnym przerysowaniem. Opowieści o PRL-u przeplatają się ze wspomnieniami czasu wojny. Bohaterowie Guzego są zwykle naznaczeni wojennymi traumami, przeszłość nie jest dla nich okresem zamkniętym i zapomnianym, ale wpływa na teraźniejszość, determinując także życie codzienne.

Taką „podwójną” rzeczywistość pisarz przedstawił w powieści *Stan wyjątkowy*, która opowiada o polskiej rodzinie, starającej się po wojnie ułożyć sobie życie w kraju. Egzotyczny świat PRL-u inspirował wielu pisarzy, czego przykładem są książki Leopolda Tyrmanda *Zły* i *Dziennik 1954* oraz powieść Stefana Kisielewskiego *Śledztwo*. Na emigracji w krzywym zwierciadle ukazywał działalność agentów Urzędu Bezpieczeństwa Czesław Straszewicz w drugiej części powieści *Turyści z bocianich gniazd*, zatytułowanej *Kociółek na Ziemowita*. *Stan wyjątkowy* Guzega składa się z czterech części. Ich bohaterami są przedstawiciele kilku pokoleń Polaków, którzy przeżyli II wojnę światową. Każdy z nich opowiada swoją historię. Pojawia się stara matka, która podczas wojny straciła bliskich i szuka ukochanego syna Jerzego, a także mąż poszukujący zaginionej żony, więźniarki obozu koncentracyjnego. Kolejne części nawiązują do poprzednich – pojawia się zaginiony Jerzy – więziony w okresie stalinowskim, który po październikowej amnestii wychodzi na wolność. Wyjaśnia się wojenna przeszłość zaginionej żony, której tragiczną przeszłość odkrywa córka Wanda.

Narracja powieści ma formę strumienia świadomości – wspomnienia i myśli bohaterów przeplatają się z przeżywaniem przez nich teraźniejszości. Jak w sennym koszmarze nieustannie powracają w nich dramatyczne wojenne zdarzenia: śmierć bliskich i własne cierpienia. Powtarzające się, fragmentaryczne obrazy ilustrują stany psychologiczne bohaterów. Autor podkreśla, że o wojnie nie można zapomnieć, ciągle żyje w tych, którzy ją przeżyli, staje się ich integralną częścią, prześladowczym demonem, zakorzenionym głęboko w podświadomości. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1947-1966, czyli obejmuje okres formowania się i umacniania się w Polsce systemu komunistycznego.



Zmagania z wojenną przeszłością – tym razem ze zbrodnią katyńską i jej konsekwencjami dla życia bohaterów – są tematem powieści *Requiem dla pani Tosi*. Tytułowa postać jest wdową po zamordowanym w Katyniu oficerze. Pracuje w Londynie w Ośrodku Badań Spraw Polskich. Jest szantażowana przez komunistycznych agentów, którzy, grożąc skrzywdzeniem jej bliskich, zmuszają ją do współpracy. W powieści w sposób wielostronny podjęty został motyw zdrady (małżeńskiej, bliskich, ojczyzny). Pisarz przekonująco przedstawił stan osaczenia przez agentów, którzy mają się wszelkimi sposobami, by pozbawić kobietę wolnej woli, poczucia bezpieczeństwa i zmusić do zachowań, które są sprzeczne z jej etycznymi

zasadami i patriotycznym kodeksem.

Innym tematem, który pasjonuje Piotra Guzega, jest wiwisekcja relacji między kobietami i mężczyznami. Przedstawia je zazwyczaj bardzo pesymistycznie, jako krótkotrwałe związki, oparte wyłącznie na erotycznym pożądaniu. Eksponuje także motyw zdrady i jej destrukcyjnych konsekwencji (np. zabójstw i samobójstw bohaterów).

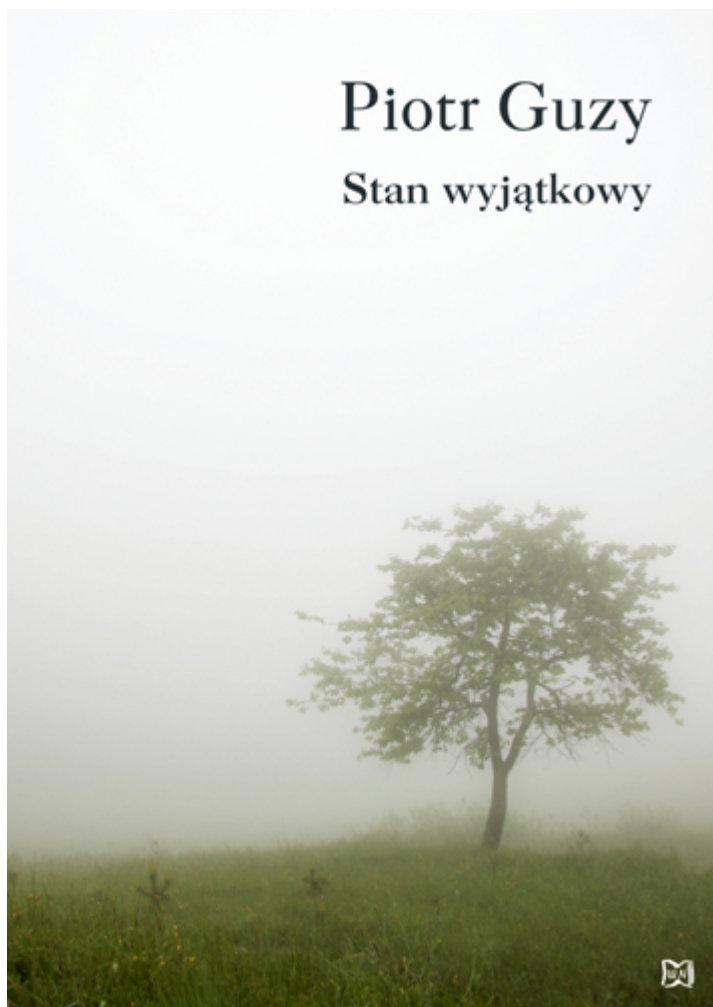
W przedstawionym przez Guzega, skażonym przez zbrodniczą ideologię świecie, w którym relacje międzyludzkie opierają się na strachu, nieufności i kłamstwie, nie ma miejsca na szczęśliwą miłość, czy bezinteresowną przyjaźń. Nikt nie czuje się bezpieczny, ukrywa swoją prawdziwą tożsamość, ponieważ każdy może zdradzić. Polityka władzy komunistycznej jest toksyczna w każdym wymiarze życia.

Piotr Guzy jest także autorem kilku opowiadań, które – jak wspomniałam –

ukazywały się na łamach „Zeszytów Literackich” (*Będziesz miłował kata swego ; Że ona jest, że w ogóle jest ; Wstyd ; Odwiedziny u duchów i Ostatnia posługa*). Także w krótkich formach prozatorskich pisarz porusza problem zmagania człowieka z demonami „złej” (wojennej i komunistycznej) przeszłości. W opowiadaniach *Ostatnia posługa* i *Odwiedziny u duchów* bohaterami są polscy emigranci, mieszkający w Hiszpanii, których przypadek stawia przed wyzwaniem zmierzenia się z przeszłością. Bohater *Ostatniej posługi* po wielu latach spotyka człowieka, który, kiedy on był w latach stalinowskich więziony, uwiódł jego żonę i odebrał rodzinę. Budzi się w nim chęć zemsty, postrzega śmierć dawnego kata jako swoiste zadośćuczynienie. W opowiadaniu pojawia się także wątek autotematyczny. Wnuczka bohatera, polonistka i doktorantka zajmująca się literaturą emigracyjną, gorzko ale i szczerze diagnozuje panoramę pisarzy na obczyźnie, która przeważnie koncentruje się na centralnych i znanych nazwiskach:

*Literatura emigracyjna. [...] na razie u nas jest tak, że krytycy i badacze zajmują się czterema czy pięcioma nazwiskami, zawsze tymi samymi, reszta leży odłogiem na święte nigdy, a ja chciałabym w mojej pracy dać szerszą panoramę, wydobyć na wierzch innych pisarzy, a jest ich sporo, i włączyć ich w ogólny obraz naszej literatury (s.44).*

Piotr Guzy  
Stan wyjątkowy



# Piotr Guzy

## Zwidy na wysokościach



W opowiadaniu *Odwiedziny u duchów* pisarz mierzy się z trudnym problemem polskiego antysemityzmu. Emigrant odwiedza rodzinną wieś i przypomina mu się niechlubny epizod z przeszłości, którego był świadkiem – grabież żydowskiego mienia przez współmieszkańców, w tym także jego ojca. Złe uczynki zostają ukarane; sprawiedliwość wymierza przeznaczenie. Zagrabiony majątek staje się przekleństwem dla mieszkańców wsi i ojca bohatera. W opowiadaniu pisarz podejmuje także problem trudnych relacji między synem i ojcem. We wspomnieniach bohatera, surowy dla rodziny, patriarchalny ojciec, korzy się przed niemieckim żołnierzem, co w oczach syna jest znakiem tchórzostwa, poddania się. Od tego momentu ojciec przestaje być dla niego wzorem.

Literatura staje się również miejscem dokonania osobistego rachunku sumienia. W opowiadaniu *Wstyd* bohater, który jest pisarzem, wspomina dawną, opublikowaną w kraju powieść, *Lot w księżycową noc*. Pod tym tytułem kryje się napisana przez Guzego w okresie socrealizmu książka *Nocny zrzut*. Narrator ma odwagę przyznać się, że publikując ją popełnił błąd:



*To była wredna książka..., pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelników utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, mówiła, że inaczej już nie będzie, tylko się z tym pogodzić (s.27).*

Rysy autobiograficzne ma także bohater opowiadania *Biedna Lilo*, który jest pisarzem-emigrantem, pochodzącym z Tarnowskich Gór. Tytułowa Lilo nosi w sobie bolesną wojenną przeszłość, która z upływem czasu nie zacierą się w pamięci, a powraca z wielką wyrazistością, zaś wehikułem, uruchamiającym proces wspomnienia, mogą być zwykłe zdarzenia, np. widok ognia.

Motyw spowiedzi z życia, wyznania grzechów z przeszłości pojawia się także w opowiadaniu „*Będziesz miłował kata swego*”! Główny bohater zwierza się przyjacielowi, że po powrocie z emigracji do Polski, został zwerbowany do współpracy przez służbę bezpieczeństwa. Postrzega siebie jako ofiarę reżimu, usprawiedliwia przed samym sobą i przyjacielem. Nie potrafił jednak zerwać współpracy z bezpieką, nie dostrzegał, że kierowała nim także chęć łatwego zysku, a wizja materialnej stabilizacji przesłaniała zło, które wniknęło w jego życie. Wyznanie nie przynosi głównemu bohaterowi ekspiacji, ale, być może, pozwala mu zrozumieć, na czym polegała jego prawdziwa wina. Za swoje niegodne postępowanie zapłacił utratą zaufania przyjaciela i zniszczeniem wieloletniej przyjaźni.

Przedstawione tu uwagi stanowią zaledwie wstęp do szerszego opracowania twórczości Piotra Guzega, który jest autorem o ogromnej woli tworzenia, oferującym czytelnikom dobrą i wartościową prozę. Jej atutami są: wnikliwa wiwisekcja ambiwalentnych zachowań człowieka i słabości jego natury w obliczu konieczności moralnych wyborów, autentyczność w kreowaniu postaci i społeczno-obyczajowo-politycznego tła wydarzeń, uparte powracanie do trudnych dla Polaków tematów stanowiących niejednokrotnie sferę tabu (antysemityzm, komunistyczna działalność), przypomnienie o niechlubnej przeszłości w imię dociekania prawdy i podkreślanie znaczenia uniwersalnych wartościach w życiu człowieka.

Autor ma czytelnikom do opowiedzenia jeszcze wiele interesujących historii. Mam nadzieję, że jego twórczość znajdzie godne miejsce w historii literatury polskiej XX wieku.

[1] Powieść ta ma adaptację teatralną, zatytułowaną *Prowokacja*.

---

# Babcia Lena skacze z Giewontu



Zakopane, Dolne Krupówki, lata dwudzieste XX wieku.

## **Romuald „Aldek” Roman**

Zazwyczaj, gdy poznajemy ludzi w wieku dojrzałym, nie przychodzi nam do głowy, że ci poważni, nobliwi panowie i panie byli w młodości jeszcze bardziej zwariowani niż my, gdy byliśmy w ich wieku. A tak często bywało, a już szczególnie, gdy mamy do czynienia z pokoleniem Woodstocku, czyli niegdysiejszymi hipisami, teraz będącymi sześćdziesięciolatkami na stanowiskach lub, jeszcze częściej, emerytami, którzy robią wszystko, by nikt ani przez chwilę nie pomyślał, że czterdzieści lat temu palili

trawę. A przecież oni tacy byli. Słuchali Jimmy'ego Hendrixa i nie bali się AIDS, bo wtedy go jeszcze nie było. Nie bali się klechów, bo Kościół siedział pod miotłą komuny, więc kochali się na prawo i lewo, i z wyjątkiem podwyższonego przyrostu naturalnego kochanie to nie miało żadnych niepożądanych konsekwencji.

Tak sprawa wygląda z moim pokoleniem. Ale czy na początku XX wieku, trzy pokolenia przede mną, gdy panie nosiły gorsety, a panowie odkryli narty i jeździli z jednym kijkiem, łatwiej im było powstrzymać się od wybryków? Ależ nie! Oni żyli z fantazją co najmniej równą naszej. A wśród tych panów z wąsikami i pań w kapeluszach z piórami trafiały się takie osoby, że gdy po stu latach pra-pra-prawnuki czytają o ich wyczynach, łapią się za głowę. Posłuchajcie, proszę, o mojej pięknej babci Lenie Roman-Dzieduszyckiej.

Mój dziadek, wielki lwowski aktor Władysław Roman, zmarł w 1904 roku, zostawiając młodziutką żonę i dwoje małych dzieci: Mieczka i Janeczkę. Mieczko to mój ojciec, „bohater dziejowy” (przezwiseko nadane mu złośliwie przez teściową), a Janeczka to późniejsza sławna aktorka Janina Romanówna, czyli moja ukochana ciocia Janeczka. Zapłakana wdowa, Lena Roman, to moja babcia, którą spotkacie też w innych opowiadaniach.

Jest rok 1908. Lena Roman dosłownie staje na głowie, by osiągnąć trzy życiowe cele: znaleźć drugiego męża, najlepiej z tytułem, jakiegoś księcia lub przynajmniej hrabiego, zdobyć pieniądze oraz sławę. Oczywiście najlepiej byłoby osiągnąć wszystkie trzy cele równocześnie, więc Lena dwoi się i troi, i walczy na wszystkich trzech frontach. Najpierw pozbywa się kłopotów z dziećmi, oddając je na wychowanie matce męża, a potem, o ile tylko było to możliwe, wysyłając je do prywatnych szkół.

Gdy to jej się udało, Lena, już wolna jak panienska, próbuje wykorzystać nazwisko i pamięć o mężu i... zostać aktorką. Przyjmują ją na próbę do teatru Fredry (dziś Słowackiego) w Krakowie i dają do grania ogony, role w rodzaju „Panie hrabio, czy można zapodać zupę?”. To jest dla Leny afront, bo skoro jej mąż grał Jaśka w Krakowskiej premierze *Wesela*, to ona żadnych zup nosiła nie będzie. Dla niej Ofelie i Julie, a nie jakieś tam kuchenne kocmołuchy. Tymczasem, żeby grać Ofelię, trzeba być Wysocką, Solską, Przybyłko-Potocką albo przynajmniej kochanką dyrektora.

A Lena nic. Inne panie albo miały większy talent, albo były pierwsze w kolejce przed drzwiami dyrektorskiej sypialni. Tak więc z pójścia w ślady nieboszczyka męża nic nie wyszło.

Niezrażona Lena walczy więc, by wyrobić sobie nazwisko w literaturze. Próbuje publikować w lwowskiej prasie smutne wiersze miłosne pełne dźwięcznych częstochowskich rymów. Wszyscy wtedy tak pisali, jedni trochę lepiej, jak Asnyk, inni trochę gorzej, jak Konopnicka, styl Leny nie różnił się więc specjalnie od stylu reszty grafomanów i jej wiersze były od czasu do czasu publikowane i zatykały puste miejsca w galicyjskich gazetach.

To jednak nie było to, o co Lenie chodziło. Zawiódł ją teatr, bo w czasie dwóch lat, gdy próbowała grać, tańczyć i śpiewać, nie tylko nie została gwiazdą, lecz jeszcze zdążyła pokłócić się z wieloma ważnymi osobami. Pisanie też odłożyła na bok, obiecując sobie, że jeszcze stworzy kilka powieści i wtedy dopiero da się poznać światu. Tu dodam, że powróciła do tego zamierzenia w latach dwudziestych i jej kilkusetstronicowa powieść *Tajemnica Pałacu Dożów*, pełna duchów i zbrodni, przetrwała do dziś w mojej szufladzie wśród rodzinnych papierów.

Pozostała ostatnia, najważniejsza i najtrudniejsza część planu - znalezienie męża. Początkowo miała nadzieję, że mąż trafi się sam, zwabiony jej urodą i... aurą nieszczęścia. Przekonała się jednak szybko, że o inne niż „biedna zapłakana wdowa” nieszczęście tu chodzi, bowiem zapłakanych wdów z dziećmi, na dodatek bez pieniędzy, potencjalni mężowie unikają jak ognia. O nie! Na wdowę żaden, nawet najgłupszy baron, nie da się złapać. Nieszczęśliwe piękności, jeśli chcą być ratowane przez rycerzy, muszą stworzyć taką sytuację, że cały świat wie o ich urodzie, a rycerz gotów jest narazić się na niebezpieczeństwo, by zdobyć kochaną. W tym celu musi uratować drżącą dziewczinę z paszczy lwa, a jeszcze lepiej smoka, walczyć z czarownicą, a nawet, jeśli trzeba, zamienić się w żabę.

Babcia Lena wymyśliła, że wielu potencjalnych absztyfikantów przyjeżdża do Zakopanego i udaje, że wybiera się w góry. Większość jednak w góry nie idzie, bo łąduje w kawiarni. Siedzą tam, palą, piją koniaczki i... plotkują o górach. Z Krakowa do Zakopanego kilometrów sto. Dojechać łatwo, bo kursuje pociąg. Lena zaprosiła na wakacje, jako przyzwoitkę, swoją siostrę Wandę, po czym wynajęła na dwa letnie

miesiące wille w pobliżu sanatorium doktora Chramca.

Polowanie się zaczęło.

Ponętna Lena spacerowała z parasolką po Krupówkach (tak, wtedy Krupówki również nazywały się Krupówki), piła w kawiarniach kawusię i gorącą czekoladę, słuchała koncertów, poznawała pensjonariuszy i letników, lecz żaden poważny kandydat na męża się nie trafiał. Ot, jakiś tam skrzypek, jakiś urzędnik gubernialny, kupiec z Warszawy. Ale przecież nie o to chodzi! Lena szukała grubej ryby, a nie płotek. Od czego jednak miała twórczy rozum? Choć starannie ukryty pod wielkim kapeluszem i piękną fryzurą, działał sprawnie i zdolny był wygenerować pomysły godne Machiavellego. Lena postanowiła zrobić z siebie ofiarę: zginąć tragicznie w górach. Właśnie teraz, gdy jest piękna, utalentowana, pełna życia... Ale zginąć tak, by wstrząsnęło to Zakopanem: skoczyć z Giewontu! Teraz oddam głos prasie krakowskiej z początków sierpnia 1908 roku:

**Z kraju**

### ***Tragiczna śmierć artystki w Zakopanem***

*Z Zakopanego otrzymujemy dzisiaj wstrząsającą wiadomość, która i w Krakowie niewątpliwie wywrze przygnębiające wrażenie, ze względu na osoby tragedii, dobrze znane w artystycznych kołach naszego miasta.*

*Oto przed paroma dniami runęła w przepaść z Giewontu, zabijając się na miejscu, artystka teatru miejskiego we Lwowie, wdowa po znakomitym artyście ś.p. Władysławie Romanie. — Towarzyszący jej na tej nieszczęsnej wycieczce znany muzyk i kompozytor Robert Poselt, chcąc ratować p. Romanową, sam także spadł w przepaść i odniósł liczne, ciężkie obrażenia na całym ciele.*

*Szczegóły katastrofy przedstawiają się w następujący sposób: Między kuracuszami i letnikami, bawiącymi obecnie w Zakopanem, przebywała także p. Lena Romanowa z siostrą swą Wandą. Obydwie siostry wybrały się przed paru dniami w towarzystwie p. Romana Poselta na wycieczkę na szczyt Giewontu. Skutkiem nieostrożności p. Romanowej, która, jakby z rozmysłem wybierała najniebezpieczniejsze urwiska na*

skale, usunęła się jej w jednym miejscu ziemia z pod stóp, a młoda kobieta w jednej chwili zniknęła w przepaści, znajdując straszną śmierć, szarpana i rozbijana o ostre złomy skał. Towarzysz nieszczęsnej, p. Poselt, chcąc ją ratować, także runął w przepaść i cudem tylko ocalał od śmierci, doznał jednak tak ciężkich obrażeń na całym ciele, iż nieprzytomnego przewieziono go do Zakopanego, gdzie u łóżka jego zgromadzili się natychmiast lekarze. — P. Poselt oprócz wielu innych ran doznał z ł a m a n i a s z c z ę k i.

Siostra ś. p. Romanowej, Wanda, ocalała, gdyż w chwili runięcia w przepaść obojga znajdowała się o kilka kroków dalej.

Poselt zamierzał dać w Zakopanem w tych dniach koncert, zdaje się jednak, że o ile znakomitemu skrzypkowi nie grozi zupełne kalectwo, dłuższy czas nie będzie mógł oddawać się swej sztuce.

O ś.p. Romanowej opowiadają, że stosunki teatralne, oraz zwątpienie w swój talent, popchnęły ją do rozpaczliwego kroku, bo od dłuższego już czasu planowała tę straszną wycieczkę - napomykając o swej bliskiej śmierci i.t.p.

Miarodajne czynniki Zakopanego starały się okropny ten wypadek utrzymać w tajemnicy, by nie szerzyć popłochu wśród gości zakopiańskich, tajemnica jednak długo utrzymać się nie dała i obecnie cały ogół kuracjuszków i letników do głębi przejęty katastrofą, ma ją niemal za jedyny temat rozmów i opowiadań.

Lena dopięła swego! Wiadomość o jej śmierci została powtórzona przez prasę lwowską, a nawet wiedeńską! Po czym, parę dni później, sensacja:

### **Śmierć na Giewoncie?**

Przyczynek do dziejów mistyfikacji

---

**(Od naszego korespondenta).**

Zakopane, 18 sierpnia

Dzienniki krakowskie, które tu nadeszły dziś rano z wiadomościami o „ś m i e r c i n

*a G i e w o n c i e*", wywołały zupełnie zrozumiałe poruszenie. Donosiły bowiem o zabiciu się pani Leny Romanowej, artystki teatru lwowskiego, wdowy po nieodżałowanej pamięci ś. p. Władysławie Romanie i poważnym kalectwie artysty-skrzypka p. Poselta. Oboje mieli spaść podczas wycieczki z Giewontu. Dzienniki przechodziły z rąk do rąk, w kawiarniach i pensyonatach, fakt ten stanowił główny temat rozmów licznych, bawiących tu letników i kuracuszów. Z obowiązku poszedłem na miasto, aby zasięgnąć bliższych informacji.

Wpadam najpierw do wszystkowiedzącego p. Płonki. Przeczytawszy informacje dzienników, zawołał:

- *Panie, to wszystko nieprawda! P. Poselt mieszka u mnie, jadł przed chwilą śniadanie i jest zdrowiutki jak ryba.*

- *A może przecież coś się stało?*

- *Zupełnie nic. Przecież w moim domu mieści się „klimatyka”, setki gości przewija się przez mój lokal, wiedziałbym więc coś o tym, gdyby zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Wiem tylko tyle, że p. Poselt spadł przed dwoma tygodniami z roweru i potłukł się trochę, ale jest już obecnie zupełnie zdrow. Niech pan przejdzie zresztą do p. Poselta, mieszka u mnie na pierwszym piętrze pod nrem 4.*

[Zatarty fragment].

*Przez Marszałkowską udałem się na Chramcówki. W pobliżu zakładu dra Chramca, vis -a-vis willi „Czarny Staw”, stoi mała, niepozorna willa „Kosówka”. Tę willę dzierżawi pani Lena Romanowa.*

*Wchodzę i zastaję tam jednego z młodych literatów krakowskich, który natychmiast przypada do mnie i zapytuje, kto mógł tak poważne dzienniki jak „Słowo Polskie” i „N. Reformę” ubrać w fałszywą informację. W odpowiedzi wzruszam ramionami, gdy wchodzi młoda, smukła, bardzo przystojna kobieta, której, jako pani Michalinie Romanowej, przedstawia mnie mój interlokutor.*

*Pani Romanowa jest w najwyższym stopniu znękana zaszłą mistyfikacją, o której na pół godziny przed moim przybyciem się dowiedziała.*



*- Kto to mógł zrobić? Kto pozwolił sobie na tak złośliwy żart? Jestem ośmieszoną. Nie będę mogła się teraz nigdzie pokazać.*

*Uspokajam jak mogę, p. Romanowa nie może jednak przyjść do siebie. Ciągłe powtarza: „Kto to mógł zrobić?”. Na moją uwagę, że ktoś, komu zależało na puszczaniu w świat tej nieprawdy, musiał w liście podpisać kogoś wybitnego, inaczejby redakcja nie uwierzyła informacji – stoi bezradna, nie wie, co o tym myśleć.*

*W tej chwili wchodzi panna Wanda, siostra p. Romanowej, która podczas rzekomego wypadku na Giewoncie jedyna ocaleć miała, i przynosi dzienniki, po które siostra ją posłała. Pani Romanowa jest jednak tak zdenerwowana, że nawet odczytać artykułu nie mogła.*

\*\*\*

*Należałoby zdemaskować autora tego złośliwego i głupiego żartu.*

Z.

R.

Nikogo jednak nie zdemaskowano, a Lena, mimo genialnego pomysłu, by zwrócić na siebie uwagę, wróciła z pobytu pod Tatrami bez męża.

Wspomniałem już jednak, że babcia nigdy się nie poddawała. Kiedy zrozumiała, że ani jako aktorka, ani tatarniczka furory nie zrobi, kupiła sobie kino, jedno z pierwszych we Lwowie, a potem drugie, i miała tyle koron w kieszeni, że nie wyjeżdżała do Zakopanego i Krynicy, tylko na Riwierę, do Dalmacji, do Wenecji. I tam wreszcie spotkała podstarzałego hrabiego i została hrabiną. Na to nigdy nie jest za późno, trzeba tylko się starać, jak moja babcia Lena.

*Kolejny fragment książki „Zakopiański Dom Wariatów” we wtorek, 11 października*

*2016 r.*